

cz. 2552/1978/17

ZYCIE  
NA  
WULKANIE

O doktorze  
Sowiakowskim

str. 3

ANI  
KAPITALISTA  
ANI MILIONER

O lubelskim  
piekarzu

str. 7

KONIEC  
ZMOWY  
OBECNYCH

Jeszcze o nr. 5  
„Poezji”

str. 12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 20 VIII 1978 NR 17 (659)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

**WISŁA** \_\_\_\_\_  
**TEMAT** \_\_\_\_\_  
**JAK RZEKA** \_\_\_\_\_

nawet o Bugu, o rzekach karpackich, skąd szczerze będziemy w przyszłość czerpać wodę.

Dyrektor naczelny Centralnego Biura Studiów i Projektów Budownictwa Wodnego „Hydroprojekt” w Warszawie, mgr inż. Wiesław Ciesielski, wskazuje mi na mapę tego regionu, na Wyżynę Lubelską i mówi o deficycie wody, i o tym, że właśnie jej używać będziemy coraz więcej w związku z potrzebą intensyfikacji rolnictwa, zaopatrzenia miast oraz powstawaniem węglowego zagłębia wraz z towarzyszącymi mu inwestycjami. Zaprasza jednak do udziału w rozmowie człowieka, który jest głównym projektantem planów regionalnych i właśnie

## Po wodę czystą aż do Karpat

Tadeusz Jasiński

**P**OSTANOWIŁEM sobie, że — zbierając fakty do tego artykułu — będą obrzydliwie zaściankowy, nawet gdyby w oczach rozmówców nasze pismo miało być podejrzane o ograniczający widzenie partykularyzm; od Zawichostu do poniżej Dębłina powiedziałem sobie: niech to będą granice mojego zainteresowania Wisłą. Tym razem znalazło jednak bezsprzeczne potwierdzenie porzekadło: temat jak rzeka. Wnet pojąłem, że gdybym nawet do końca uparł się trwać wyłącznie przy wspomnianym odcinku, to i tak małej będzie mowy o samej Wiśle, a więcej — w przypadku środkowo-wschodniego makroregionu — o Wieprzu,

problemy wodne Lubelszczyzny wchodzi w zakres jego prac. Równocześnie jest on jednym z twórców wielkiego planu „Wisła”. Twórców tych są setki, można by wydać odrębną księgę, gdyby nie chcieć pominąć żadnej osoby, żadnej placówki naukowej i projektującej, ale mam za chwilę poznać jednego z nich, w dodatku dawnego lublinianina. Po przyjeździe jego rodziny z Wołynia kończył szkołę podstawową-ćwiczeniówkę, a w 1952 roku, zanim wyruszył na Politechnikę Warszawską — Liceum im. J. Zamoyskiego. Mgr inż. Adam Kloss zna nasz re-

Dokończenie na str. 8

Z ŻYCIA LUDZI I ZWIERZĄT

## Pieski los

Arkadiusz Kossowski

**P**IES służy człowiekowi do różnych celów. Pudle rozbawiają nas w cyrkach, owczarki alzackie skutecznie tropią przestępców, a czym dowodnie przekonał publiczność serial telewizyjny o pewnym „Cywilu” oraz inne opowieści, dogi bronią swolch właścicieli nie przebiegając w środkach, bernardyny pomagają pechowym alpinistom, pojąc ich na dodatek gorzalką, huskie ciągną zaprzęgi po śniegach Północy, jamniki ogrzewają nogi właścicielom, setery czy wyżły zdołają ludzi jak nowe samochody, a poza tym służą panom Dziewońskiemu i Michnikowskiemu do konstruowania ciekawych przekształceń terminologicznych. Ponadto psy wyzwalały z kompleksów: mały człowiek przy roslym wilku o człowieka wyzwolony, bo mimo że niski, to przecież większy od zwierzęcia, które należy do okazalszych przedstawicieli gatunku. W Polsce psy pełnią jeszcze jedną ważną rolę: są ostatnią ostoją rasizmu. Właściciel takiego rasowca w pogardzie ma kundla i jego pana, choćby był nim np. dyrektor filharmonii czy dziennikarz. Oszolomiony zapachem czystej krwi swojego pupila, rozgłasza wszem i wobec, że każe (?) zastrzelić „Pikusia”, jeśli ten ośmieli się jeszcze raz zbliżyć do jego sukki, która jako szezanie kosztowała pięć tysięcy, a teraz pracowicie amortyzuje kosztą zakupu. Niewiątpliwie, psy są jedyną radością ludzi samotnych, integrują rodziny, wpajają w dzieci poczucie odpowiedzialności. W Jugosławii pies

Dokończenie na str. 10

Emil Biela

### EROTYK

dziesięć twoich palców  
to dziesięć promieni  
słońce męskiej rozkoszy  
która przychodzi nocą  
by nikt jej nie widział  
by nikt jej nie ukradł

wydeptałem do tych palców  
sromą ścieżkę  
wyłożyłem miłosnym  
zachwyten  
wysypałem białym  
rozżarzonym piaskiem  
ustawicznej tęsknoty



Złota

Fot. W. Stępień



# Jeszcze raz „Chelmu - 80”

Anna Borkowska

**P**RYJECIAŁAM do Chelma na początku sierpnia. Zaraz po wymianie turnusów. W miasteczku Chelmie przy LO im. S. Czarnieckiego cisza. A przecież mieszka tu ok. 750 osób. Zawieram pierwsze znajomości, przypinają mi identyfikator. Rozmawiam przez chwilę z gwardią studencką zabezpieczającą porządek w każdym miasteczku. W Chelmie są dwa miasteczka — Chelmu 1 i 2 oraz po jednym w Krasnymstawie i Włodawie. Gwardia — chłopcy wysportowani, jak słyszałam dość fachowo — wypuszczają i wpuszczają do miasteczka. Nie, nie zdarzyło się jeszcze, aby musieli stosować siłę. Podobno na poprzednim turnusie w lipcu młodzi chelmieńscy próbowali powodzić przez mur, oczywiście bez powodzenia. Dlaczego jest cicho? Praca.

Zasadniczą formą aktywności Studenckiej Akcji Chelmu-80 są studenckie brygady pracy. Uczestniczy w nich w rb. ponad 4 tys. studentów, których zatrudniają przede wszystkim przedsiębiorstwa budowlane i zakłady przemysłowe woj. chelmskiego. Najwięcej, bo aż 700 osób pracuje w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Chelmie. Większość uczestników Akcji została zatrudniona przy obiektach, które w dużej części wykonane lub wykończone będą siłami studenckimi. Np. prace wykończeniowe budynków mieszkalnych w Krasnymstawie i Włodawie, budowa ovezarni w Hłowie, obiekty inwentarskie w PGR Korolówka, inwestycje drogowe.

Przed każdym nowym turnusem rozgrywa się walka przedsiębiorstw o... studentów—cudzoziemców. Polscy studenci pracują bardzo dobrze, ale nie zawsze dają z siebie wszystko. Najlepiej pracują uczestnicy Międzynarodowych Obozów Pracy. W czasie wakacji prawie półmilionowa grupa studentów z kilkunastu uczelni krajów socjalistycznych oraz studentów zagranicznych studiujących w Polsce przebywa w Chelmie. Informacji o MOP-ach udziela im ich opiekun w miasteczku Chelmu 1 — Jerzy Morawski. W lipcu pracował w Chelmie ok. 160 osób przede wszystkim z ZSRR, Bułgarii, NRD, Czechosłowacji, Syrii, Gościjlmy także 13 Kubańczyków, Etiopczyka, Boliwijszczyka, Kolumbijszczyka oraz młodych ludzi z Panamy, Kostaryki, Gwatemali. Wszyscy są albo studentami albo zapierają studiować na polskich uczelniach. Zławił się także MOP złożony z Polaków studiujących w Związku Radzieckim. MOP-y wykonywały prace wykończeniowe i remontowo-budowlane i pracę ich oceniono bardzo wysoko. Świadczyć o tym może wysokość zarobków (3—4,5 tys. zł). Wszystkie grupy narodowościowe zorganizowały godzinne wieczory prezentujące kulturę własnych krajów dla polskich studentów SACH-80. Po miesięcznej pracy w Chelmie uczestnicy MOP-ów wyruszają „w Polskę” na zorganizowane dla nich wycieczki i obozy.

Oprócz budownictwa i przemysłu studentów zatrudniają także i rolnic-

two. Z tym że zakres prac proponowanych w tegorocznej Akcji jest bez porównania większy niż w latach ubiegłych. Podobnie jak do tej pory w rolnictwie pracują w czterotygodniowych turnusach brygady traktorowe, remontowe i studenckie brygady pracy. Są to wszystkie brygady specjalistyczne.

SKR Kamień. Wioska 10 km od Chelma. Spotkały się tu ekipy dwóch uczelni — Akademii Rolniczej ze Szczecina i z Krakowa. Zarabiają dobrze; mówią, że z uprawieniami kombajnisty można zarobić i 10 tys. zł w ciągu miesiąca. W Kamieniu chwalą ich za pracę. Na swoim koncie mają zreperowanie kilku maszyn rolniczych stojących od wielu miesięcy bezużytecznie. No i żniwa.

— Pani wie, sąsiadowi plot się zawalił, a stary już człowiek. Zreperowali za darmo, tacy oni są. — To już nie Kamień. Rozmawiam na ulicy Chelma z mieszkańcem podchelmskiej wsi (nazwy nie dosłyszałam). SACH-owców lubią na całej chelmskiej ziemi. Lubią ich w Chelmie. Lubią i są wdzięczni za pomoc przy stawianiu młodego wojewódzkiego miasta i jego okoliczności. No i żniwa.

Praca przy żniwach to podstawowe zajęcie brygad rolniczych, ale należałoby wspomnieć o 120 osobach, które w czasie owych żniw zajmują się wiejską działalnością. Około 20 dziecięcych wiejskich województwa chelmskiego ma studencką kadrę.

Warunki pracy są naprawdę dobre. Baza socjalna przygotowana była od stycznia br. Każde miasteczko dysponuje własną bazą namiotową, zapleczem sanitarnym (ciepła woda!), stołówka WSS „Społem”, transportem, sprzętem łączności i radiofonizacją. Dzienna stawka żywieniowa (48 zł) jest adekwatna do poziomu serwowanego jedzenia. Po Chelmie nikt z uczestników SACH-80 na pewno głodny nie chodzi. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że rozpieszczeni nie będą, że warunki nie są komfortowe. Przyjechali tu do pracy, a nie na 24-godzinny odpoczynek.

Program prac naukowo-badawczych SACH-80 w rb. stanowi kontynuację badań rozpoczętych w roku ubiegłym. Obejmuje on 8 problemów badawczych dotyczących przede wszystkim zagospodarowania przestrzennego województwa chelmskiego i miasta Chelma, Kombinatu Cementowego, czynników rozwoju społeczno-gospodarczego oraz zagadnień społeczno-politycznych. Większość tych problemów została już włączona w proces dydaktyczny na uczelniach, realizowana jest w formie prac dyplomowych. Województwo chelmskie ciągle jeszcze cierpi na brak kadr z wyższym wykształceniem. Liczy na to, że niektórzy z tych biorących udział w Akcji wrócą do Chelma po studiach.

W 1978 roku w Chelmie i okolicach pracować będzie ok. 60 kół naukowych o różnych specjalnościach i ze wszystkich regionów Polski. Wszystkie znajdują coś dla

siebie, od językoznawców po górników, geodetów czy socjologów. Nie sposób jest wszystkie kółka wymienić, a co tu mówić o tematach realizowanych podczas naukowych obozów. Bardzo ciekawe wydały mi się prace dwóch grup młodych architektów z Politechniki Śląskiej, którzy zajęli się projektem przebudowy ul. Lwowskiej w Chelmie, projektem klubu młodzieżowego i projektem zagospodarowania przylegających do planowanego „Centrum Rekreacji i Wypoczynku” obszarów leśnych — wraz z wyrobiskiem po kopalni piasku — dla celów sportu i rekreacji mieszkańców Chelma. Koło Naukowe Architektów i Konserwatorów Zabytków z Politechniki Krakowskiej przeprowadziło inwentaryzację regionalnego i drewnianego budownictwa w Chelmie i najbliższych okolicach.

Ale Studencka Akcja Chelmu-80 to nie tylko praca i badania naukowe. To także wypoczynek ze sportem i działalnością kulturalną. Każde miasteczko Akcji posiada własny klub. Pracuje też klub „Niedźwiadek” obsługiwany przez ekipę z Lublina przeznaczony dla mieszkańców Chelma. Program to przede wszystkim prezentacja zespołów i studenckich grup twórczych, imprezy okolicznościowe, turnieje i działalność czysto rozrywkowa, czyli nieśmiertelne dyskoteki. Działania kulturalne SACH-80 to także wszelkiego rodzaju obozy twórcze studentów szkół artystycznych, plenery plastyczne. Zostawiają po sobie rzeźby na ulicach Chelma, część obrazów, projekt wstroju wnętrz przedszkola na Osiedlu XXX-lecia PRL w Chelmie, projekty systemu propagandy wizualnej dla miasta. Za mało jest jednak działań dla samych studentów. Tę kulturalną lukę z powodzeniem wypełnia sport poety najszerzej, prowadzony przez młodych fachowców z uczelni wychowania fizycznego.

Działalność propagandowa SACH-80 prowadzi Biuro Prasowe Akcji, Centralne Studio Radiowe, Sekcja Fotograficzna i Propagandy Wizualnej. Studencki dziennikarze wydała Biuletyn Informacyjny „Jednodniówka „CHELM — 80”, emituje program dla wszystkich miasteczek SACH-80 oraz program dla Chelma, Włodawy i Krasnostawu; prowadzą stałe serwisy fotograficzne.

Jestem u pani Barbary Bodakowskiej-Jaroszki. „Znasz” z powitania bukietem kwiatów wiedzających do Chelma wen. Berlinga i Wandy Wasilewskiej w dniu 22.VII.1944 roku. W Chelmie ceślone przed wszystkim za prace w Amatorskim Teatrze Ziemi Chelmskiej (który w przyszłym roku będzie obchodził 75-lecie istnienia) i za prace teatralne z dziełami szkół podstawowych Chelma. Pani Barbara mówi: — Marzę o stworzeniu zespołu na zasadzie teatru poezji i piosenki. Marzę mi się widowisko obrazujące udział dzieci i młodzieży w życiu Ojczyzny w latach 1939—1979. Proszę sobie wyobrazić ognisko harcerskie, piosenkę „Płonie ognisko i szumia kłosa”, i drużynowe ogłaszające wybuch wojny. Później okres okupacji, partyzantki, wojska Budowa i odbudowa. A wszystko na chelmskiej ziemi. Zakończyłabym waszą studencką akcją Chelmu-80.

Mam jeszcze chwilę czasu. Idę na ulicę Reformacką. Tam, gdzie wychodziła przed wojną „Kamena”. Nikt nie potrafi wskazać mi miejsca, gdzie stał ten dom. Tak, Chelmu zaczyna być miastem młodych. A na każdym murze wiszą plakaty: Studencka Akcja Chelmu-80 — NASZA RZECZA JEST OJCZYŻNA”.

## SZPALTA O SPORCIE

**R**OK bieżący jest Rokiem Sportu Kobiet. Może przeszkodzi to niezauważeniu, gdyby nie pięćdziesięcioletnie zdobycie pierwszego złotego medalu olimpijskiego dla barw polskich. A zdobyła go przecież kobieta — Halina Konopacka — na igrzyskach olimpijskich w 1928 roku w Amsterdamie w rzucie dyskiem. W tej najbardziej helleńskiej konkurencji mieliśmy później rekordzistkę świata Wajsównę, która jednak po złoto olimpijskie nie sięgnęła, a zdobyła tylko brązowy medal.

Ale na igrzyskach w Los Angeles w 1932 roku obok niej rozbiła gwiazda innej Polki — Stanisławy Walasiewiczówny, która nie tylko zdobyła złoty medal na 100 metrów, lecz także osiągała liczące się w świecie wyniki na dystansach do 800 metrów, w skoku w dal i nawet w rzucie dyskiem.

Na berlińskich igrzyskach w 1936 roku w konkurencjach lekkoatletycznych tylko kobiety uzyskały dla Polski medale, a były to znów Walasiewiczówna i Wajsówna ze srebrem oraz oszczepniczka Maria Kwaśniewska, zdobywczyni brązowego medalu.

Helena Konopacka dziś w odpowiedzi na gratulacje otrzymane od Polskiego Komitetu Olimpijskiego pisze m. in. „Wszystkim moim koleżankom życzę laurów olimpijskich i gorąco je pozdrawiam hasłem — „zwycięstwo jest naszym przykazaniem”.

W latach Polskiej Ludowej nasze panie coraz to bardziej liczyły się na stadionach świata. Igrzyska w Melbourne zaczęły erę Złotej Eli — Krzesińskiej. Tam też brązowy medal zdobyły nasze gimnastyczki, a w Rzymie srebrny już medal w skoku w dal Krzesińskiej uzupełniła Józwiakowska też srebrnym, a sztafeta żeńska zdobyła brąz.

A potem przyszły lata Ireny Kirszstein, Tokio, Meksyk, Monachium, Montreal to nie tylko sukcesy pani Ireny, lecz także świetne rezultaty naszych plotkarek od Ciepłej do Rabsztyń, z których można wnioskować, że Polki mają specjalny talent do tej trudnej wymagającej szybkości i rytmu konkurencji.

W latach powojennych panie też pierwsze pokazały, że nieprawdą jest, jakoby Polacy nie mieli predyspozycji do gier zespołowych. Zanim bowiem piłkarze i siatkarze sięgnęli po olimpijskie trofea, sztafki polskie już w Tokio i Meksyku stawały na podium, aby odebrać brązowe medale.

W czołówce światowej znajdowały się zawsze polskie łuczniczki. Medale z olimpiady, z mistrzostw świata i Europy uzupełniły one ostatnio znacznym sukcesem. Srebrny medal drużyny i brązowy Wilito zdobyte w ostatnich dniach na mistrzostwach Europy świadczą o tym, że w tej dyscyplinie na nasze panie możemy zawsze liczyć.

A nasze gimnastyczki z Heleną Rakoczy mistrzynią Europy z 1950 roku, i alpinistki, które w kobiecym zespole atakują szczyty himalajskie. Nasza szybowniczka Adela Dankowska współzawodniczy jak równy z równymi z mężczyznami w tej dyscyplinie, która zbliża ludzi do ewiazd.

Nie można też nie wspomnieć, że w ostatnich szermierczych mistrzostwach świata nasze florecistki zdobyły wicemistrzowski tytuł i jeden z dwu medali, jakże z Hamburga wwieźli reprezentanci Polski.

Te piękne przykłady naszego sportu kobiecego (nie wszystkie bo nie atakowały miejsca na ich spisanie i cierpliwości na czytanie) powinny być zachętą dla polskich dziewcząt, by więcej ich wybiegano na boiska i hale sportowe. Lekkoatletyka, gry zespołowe, gimnastyka, łyżniactwo, pływanie, w którym Lublin ma znaczne osiągnięcia, to nie jedne dyscypliny, które stoją przed paniami do dyspozycji. Ostatnio grają one nawet w piłkę nożną, a najbardziej wszechstronne próbują też pięcioboju nowoczesnego.

Jest więc szerokie pole do popisu. Boiska i pływalnie czekają na panie. Czekają na nie też sukcesy i medale. Powodzenia!

tgw

Dnia 12 sierpnia 1978 r. zmarł

## STANISŁAW MOJKOWSKI

prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”, wybitny działacz polityczny i społeczny, były wieloletni przewodniczący Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I klasy, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami państwowymi.

CZĘŚĆ JEGO PAMIĘCI



**S**ZCZECIN. Willa na Pogodnie. Jeremiasz Sowiakowski ma już prawie tyle lat, co wiek dwudziesty, ale w siedemdziesiątym siódmym roku życia nadal przyjmuje chorych. Krok ma sprężysty. Patrzę na jego sylwetkę i wydaje mi się, że jeszcze dziś rozpięta go energia, że dusi się w tej willi. A przecież przed dwudziestoma dwoma laty zwalił go z nóg zawal serca. Nie poddał się chorobie. „Nie takie rzeczy tę przeżyło” — mówi z uśmiechem, potem zbliża się do biurka i wyciąga zeń broszurkę w bordowej okładce.

— Wie pan, co to jest? Proszę czytać: Szpital Powiatowy w Janowie Lubelskim (1918—11 X 1936). Dane informacyjne z okazji poświęcenia nowego gmachu Szpitala.

Rzeczywiście biały krętek. Nie wiem, czy Janowski szpital ma tę książeczkę. Na stronie piątej, gdzie mowa o personelu lekarskim i pomocniczym, dostrzegam zdanie: Od I IV 1934 r. Dyrektor Dr J. Sowiakowski i 4 pielęgniarki. Od I IX zaangażowano asystenta Dr K. Wajdę i zwiększono liczbę pielęgniarek do pięciu. Od I V 1935 r. zaangażowano drugiego asystenta Dr E. Segalin.

Nieco dalej dowiaduję się, że w okresie budżetowym 1935—36 wydatki szpitala wyniosły 88 134 zł i 41 groszy, natomiast dochody — 88 117 zł i 38 groszy, deficyt wyniósł więc 17 zł i 3 grosze. Tajemnicę gospodarności wyjaśnia „uwaga” która głosi: Oplaty szpitalne wynoszą zasadniczo 4 zł dziennie dla chorych, zakazanych przewidziane są znaczne zniżki.

— To nie te czasy, co dzisiaj redaktorze! Bezpłatna opieka zdrowotna dla wsi? Kolosalne dotacje ze strony państwa? Wówczas o tym trudno było nawet marzyć, a cztery złote przedwojenne to był dopiero pieniądz!

Doktor Sowiakowski podnosi się na moment, bo wie, że w rozdział się telefon.

— Proszę poczekać jutro rano, najlepiej tak koło dziesiątej... Wyleczymy, wyleczymy, niech się pani nie martwi... — Potem dodaje już do mnie.

— Pacjent musi mieć do lekarza pełne zaufanie. Zawsze wyznawałem zasadę, że każdy musi mieć czas na wygadanie się. O wszystkim, nie tylko o chorobie. Jak się poznaje problemy pacjenta, jego codzienne życie i to w domu i to w pracy, wówczas lepiej jest wzajemnie się nam porozumieć. Och, z jakimi sprawami do mnie pacjenci przychodzili! Nie uwierzyłby pan!

Kieruję jednak rozmowę na inny temat:

— Znam treść pisma — mówię — jakże przed trzema laty Zarząd Koła Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Janowie Lubelskim skierował do Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD-u w Szczecinie. Bardzo ciepło napisał o panu prezes Zarządu Koła Miejskiego, Czesław Brytan. Należał pan do ruchu oporu i z narażeniem życia udzielał pomocy lekarskiej rannym partyzantom polskim i radzieckim. Systematycznie współpracował pan z placówką GL i następnie AL. Nie tylko przechowywał pan partyzantów w szpitalu, ale także dokonywał operacji w ułajowym bunkrze. Ten Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, który widzę na piersi, to dowód uznania za tamte trudne i tak niebezpieczne lata. Musiał pan przecież niemal codziennie narażać życie swoje i życie całej rodziny...

— Wraca pan do przeszłości... Nie będę ukrywać, ale to było życie na wulkanie. Chciałby pan o tym napisać? Ale czy ja mogę jeszcze coś nowego dorzucić? W tych latach każdy polski patriota był żołnierzem podziemia. Normalna, jak to się dzisiaj mówi... Ale chwilę, wylączę telefon, po co nam mają przeszkadzać...

I po chwili:

— Zbliża się trzydziesta dziewiąta rocznica Września. To nawet interesująca zbieżność: rok 1939 i trzydziesta dziewiąta rocznica. Zwrócił pan na to uwagę?

Szczerze przyznaję, że nie.

— No, widzi pan, stary doktor też coś zauważył. Więc o tym pamiętnym Wrześniu. Już w czwartym dniu wojny przywieziono do naszego szpitala w Janowie siedmiu rannych cywilów z Kraśnika, którzy padli ofiarą bombardowania dworca kolejowego. Ale to było dopiero preludium tego, co nas czekało. W piątek, 8 września, jak dziś pamiętam, odbywał się w Janowie odpust. Pogoda była przepiękna, nie wiem, czy w całym XX wieku mieliśmy w Polsce tak upalny wrzesień. Oprócz uciekinierów przybyło do miasta duże gromady ludzi z okolicznych wsi. Czy ja wiem? Obliczam, że było wówczas ponad dwadzieścia tysięcy osób. Proszę sobie wyobrazić — godzina trzynasta, nadlatują niemieckie samoloty, w tę ciężką ludzką zrzucają bomby. O-

gólny popioch, przerażenie. Jeden wielki pożar. Do szpitala znoszą setki rannych. Ale nie koniec na tym. Po godzinie, dwóch, trudno dziś dokładnie czas wyliczyć, następuje drugi nalot. Bestialski nalot na miasto, w którym wówczas nie ma ani jednego żołnierza! Bilans jest tragiczny. 350 zabitych, 1300 rannych. I ci wszyscy ranni w moim szpitalu! Na domiar złego ogień strawił jedyną w mieście aptekę. W szpitalu mam pewien zapas leków, ale przecież to kropla w morzu potrzeby. Brak również prądu elektrycznego, a tu czekają operacje Koszmar. Cały wieczór, całą noc operowałem przy świetle lampek bateryjnych. Byłem skazany na samego siebie, bo inni lekarze poszli do wojska. Kogo mogłem uratować, kogo byłem w stanie uratować — uratowałem.

gabinie lekarskim. Operowałem go, ale życia już mu uratować nie mogłem. Udało mi się natomiast uratować grupę mieszkańców, wśród nich były kobiety i dzieci. Całą tę grupę Niemcy po zajęciu miasta chcieli rozstrzelać. Pomogła moja interwencja u lekarza, oberstabsarzta, Benlaua z Monachium. To był bardzo interesujący człowiek. Pogadaliśmy szczerze, aż dźwi, że można było tak szczerze rozmawiać. Zwierył mi się, że jego matka, napisała kilka książek, w jednej z nich broniła Żydów przed prześladowaniem ze strony nazistów. Znalazłem tę książkę w bibliotece mojej żony Pokazałem mu i spytałem: „O tę rzecz chodzi?” Wzruszenie dr Benlaua trudno opisać. I od tej chwili przestałem wszystkich Niemców wkładać do jednego worka.

— Panie doktorze, czy ta rozmowa pana nie wyczerpała?

— Redaktorze, przecież to kawał historii mego życia! Naprawdę pan każe? A może mały koniczek? Panu należy pięćdziesiątka, a ja sobie tyłem tylko dwadzieścia pięć gram... Więc zaraz... Muszę się streszczać, bo i tak nie będzie pan miał miejsca, aby o tym wszystkim napisać. Może więc o tych sprawach najciekawszych, a niekiedy najtragiczniejszych? Rok 1941. Hitlerowcy najadli na ZSRR. I tej jesieni rozpoczęła się też zagłada Żydów. 700 Żydów przywieźli Niemcy z Wiednia do Modliborzyc. Między nimi było czterdziestu lekarzy, w tym trzech profesorów wydziału medycznego w wiedeńskim uniwersytecie i lekarz nadworny cesarzowej Zyty Habsburg, który odbierał wszystkie dzieci przy porodzie! Przez pewien czas lekarze mogli jeszcze przyjeżdżać do naszego szpitala, ale w 1942 roku wszystkich zgładzono...

— Terro, hitlerowski budził kontrakcję społeczeństwa...

— Właśnie. Już w 1942 roku coraz liczniej działali w lasach zgrupowania partyzanckie. Trwały mniejsze, czy większe starcia zbrojne, pomoc lekarska była niezbędna. Ale i tu trzeba było uciekać się do forteli. Lekarz szedł do lasu, ale przedtem trzeba było zorganizować „przedstawienie” że niby to lekarza porywają partyzanci, siłą, oczywiście. Ja w tym gabinecie przyjmowałem dziennie od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu chorych, naturalnie wszystkich bezpłatnie. Wśród chorych byli i partyzanci. Zdarzało się, że przywożono do mnie rannych partyzantów w przebraniu kobiecym.

Kamienica, w której mieszkałem, sąsiadowała bezpośrednio z terenem szpitala i między nią a budynkiem oddziału chirurgicznego był korytarz, który łączący się ze schronem przed wjazdem, schron zaś łączący się z naszą piwnicą. Trochę to skomplikowane, ale myślę, że pan rozumie. Dodam, że w podłodze naszego pokoju jadalnego znajdował się specjalny otwór prowadzący do tej piwnicy. W razie niebezpieczeństwa w szpitalu ludzie uciekali do naszego mieszkania i stąd dalej, w teren. Oczywiście w razie nagłego wtrągnięcia Niemców do naszego domu partyzanci uciekali przez szpital w kierunku miasta. Dobrze to było pomyślane! I panowała pełna konspiracja. Nie zdarzyło się ani razu, aby ktoś cokolwiek doniósł hitlerowcom, co się u nas dzieje.

— Panie doktorze, słucham pana i wszystko to wydaje się takie proste...

— Przecież nie będę z siebie robił bohatera. Normalna.

— I za tę „normalkę” otrzymał pan w 1972 roku tytuł obywatela honorowego Janowa Lubelskiego...

— Ktoś przypomniał sobie mnie po latach...

— Ale tytułu obywatela honorowego Puław pan nie ma...

— Zartuje pan, redaktorze! W Puławach działałem już po wojnie, byłem dyrektorem Szpitala Powiatowego. To już inna, osobna historia, może panu kiedyś o niej opowiem. Dalsze moje losy to Szczecin, byłem ordynatorem Szpitala Miejskiego, później dyrektorem Wojewódzkiej Przychodni Specjalistycznej, no i obecnie jestem na emeryturze. Ale czy ja mogę siedzieć bezczynnie... Może już włączyć ten nieszczęsny telefon?

— Panie doktorze, teraz się dopiero zorientowałem. Ja ciągle mówię do pana przez „pan”, pan do mnie również tak się zwraca, a przecież obaj należymy do partii... Jakoś to głupio...

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Aha, Dodam jeszcze, że reakcja po wojnie wydała mi wyrok śmierci, ale jakoś żyję...

— To coś nowego. Może porozmawiamy teraz na ten temat? Na ten temat, towarzyszu doktorze...

— To w towarzystwie redaktorze, przyjadę kiedyś do Lublina, odwiedzę stare kąty, o czym wówczas będziemy rozmawiać?

— Trzymam więc za słowo...

— O, do licha, czy ja wyłączyłem gaz w kuchni kiedy schodziłem po tę kawę?

— Powiedzieliście, życie na wulkanie...

Doktor Jeremiasz Sowiakowski śmieje się w tym momencie jak sztabak. I chyba teraz wzajemnie pęka bariera lat. Zresztą daty urodzenia nikt sobie nie wybierze... Ale własny życiorys można w jakiś sposób kształtować. Jak na przykład kształtował go towarzysz doktor Sowiakowski...

## ŻYCIE NA WULKANIE

Marek Adam Jaworski



Doktor J. Sowiakowski

(zdjęcie autora)

Ale wszystkich uratować po prostu nie mogłem. Mimo nadludzkiego wysiłku... A proszę spojrzeć na inny problem — żywności. Bez ludzi, bez ich pomocy można by tylko siąść i płakać. Z wdzięcznością wspominam zwłaszcza pomoc w dostawach żywności ze strony mieszkańców gminy Kawęczyn...

— Cóż dalej... Muszę trochę uszeregować myśli... — Doktor Sowiakowski spogląda przez okno na zielony ogródek. — Zapomniałbym, z Klemensowa przywieziono nam 500 kilogramów cukru. Był on bardzo potrzebny. Więc jestem już przy 13 września. Jako tako udało mi się z pomocą trzech pielęgniarek uporządkować szpital. Miałem wówczas około 800 chorych, w olbrzymiej większości — rannych. Przez Janów przewalili się szpital polowy Wojska Polskiego, który zaopatrzył mnie w leki i środki opatrunkowe. Nie byłem już tak bezbronny. Ale samoloty niemieckie dojrzały pewną koncentrację wojska i Janów przeżył nowy nalot. Przyjąłem znów kilkuset rannych, głównie wojskowych, wśród których znalazło się również trzech rannych żołnierzy niemieckich. To byli nasi jeńcy. Dziś, po latach, mogę przypuszczać, że obecność tych jeńców w szpitalu uchroniła budynek przed bombardowaniami, szpiegdy hitlerowscy przecież wszędzie działali.

— Słyszałem, że pan nie tylko leczył, ale wydawał różnego rodzaju zaświadczenia, które mogły uchronić w przyszłości wiele osób...

— Wówczas była prawdziwa wędrówka ludów. Kto spośród uciekinierów chciał przedrzeć się przez linię frontu na tereny zajęte już przez Niemców, otrzymywał ode mnie zaświadczenie, że taki to a taki został na czas wojny przydzielony do pomocy w szpitalu i teraz wraca do domu. Na życzenie pisałem nie tylko po polsku, ale i po niemiecku, albo po rosyjsku, jeśli ktoś chciał się udać na wschód. Ile takich zaświadczeń wypisałem? Nie uwierzy pan. Chyba że trzysta. Miałem wówczas żelazne zdrowie. Godzina snu na dobę mi wystarczała.

— Co było potem? Walki uliczne, miasto przechodziło z rąk do rąk.

Pamiętam, jak w ciężkim stanie przeniesiono do szpitala pułkownika Lechnickiego, którego umieściłem w moim

Wśród nich też byli prawdziwi ludzie, chociaż ubrano ich w mundury i kazano maszerować na wschód.

— Zaczęła się więc okupacja, chyba najbardziej tragiczny okres w tysiącletniej historii Polski...

— Chyba? Na pewno. Trudno mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Na ziemiach polskich w ciągu tysiąclecia działy się różne straszne rzeczy, ale okresu hitlerowskiej okupacji do niczego już porównać się nie da. Ale Niemców można było niekiedy oszwać. W listopadzie 1939 roku przybył do Janowa batalion budowlany, a z nim lekarz, Niemiec, choć jak o tym świadczyło nazwisko, zapewne pochodzenia polskiego — dr Zakopielski. Z polecenia władz niemieckich objął on nadzór nad szpitalem. Bez jego pozwolenia nie wolno było wypisać żadnego oficera. Ale czy oficerowie mieli na czołach wypisane stopnie wojskowe? Kombinowałem, jak można ich zwolnić ze szpitala, zwłaszcza, że niektórzy nadawali się już do wypisania. Na szczęście Niemcy złagodzili początkowe rozkazy i zezwolili na zwalnianie podporuczników piechoty.

Ale na zaświadczeniu o zwolnieniu musiał być podpis dr Zakopielski. Rada w radę „zdegradowaliśmy” wszystkich oficerów i przekwalifikowaliśmy ich. Nie było oficerów lotnictwa, artylerii itp., a jedynie podporucznicy piechoty. Dr Zakopielski nie był zbyt dobiekawy. Wszystkie zaświadczenia podpisał. Ciekawy jestem, ilu z „moich” oficerów lotnictwa broniło później Londynu...

— Panie doktorze, dowiedziałem się od pana dobrego znajomego...

— Ciekawy jestem od kogo?

— Niech dziennikarz ma jakieś tajemnice... A więc dowiedziałem się, że pan „wykorzystał” ten tragiczny okres Września w celach naukowych...

— Po co te wielkie słowa? Ma pan zapewne na myśli moją pracę pt. „Zakażenie tężcem ran wojennych, nie leczonych zapobiegawczo surowicą przeciwczą” w Wolalnym tej pracy nigdy nie napisać, a zamiast tego mieć ową surowicę... Zebrałem 3025 przypadków. A pracę wygłosiłem na zjeździe chirurgów w Krakowie w roku 1948 i opublikowałem ją w „Polskim Przeglądzie Chirurgicznym” w 1950 roku.



# PO NADULSKIM ZIÓLKOWSKI...

Ireneusz J. Kamiński



Wiktor Ziolkowski

Fot. J. Urban

**N**APIERZ odszedł Zenon Kononowicz, później Władysław Filipiak, niedawno — Edward Nadulski, kilka dni po nim, 28 lipca bieżącego roku, zmarł w lubelskim szpitalu Wiktor Ziolkowski...

Coraz częściej uczestniczę w pogrzebach w alei zasłużonych ementarza przy ul. Lipowej, żegnając artystów, z którymi przyjaźniłem się, albo po prostu rozmawiałem często w pracowniach, nie zawsze zgadzając się z ich poglądami na sztukę, na życie, na to, co dzieje się w środowisku lubelskiej plastyki. Byłem za młody, żeby kształtować twórczość tych dojrzałych artystów, dziś widzę jasno, że to oni mieli wpływ na moje myślenie, na mój stosunek do malarstwa, które swego czasu próbowałem — junior naiwny — wykreślić z rejestru sztuki „godnej naszych czasów”.

Podczas tych smutnych z natury rzeczy uroczystości przylapuję się często na refleksji nie pasującej do miejsca i chwili, bo całkiem pogodnej, jakby nie współczującej Powodują ją biografie ludzi, których żegnają, życiorysy profilowane nie tylko przez wartościowe dokonania poszczególnych indywidualności, lecz także przez wy-

Prawda, Kononowicz i Filipiak, a później Nadulski, właściwie zawsze uprawiali malarstwo mniej lub bardziej związane z polskim koloryzmem, ale — głównie po roku 1956 — czynili to w atmosferze nieustannego zagrożenia, powodowanego przez nowe idee artystyczne, lansowane na naszym gruncie przez ludzi młodych, agresywnych, pozbawionych tolerancji, co ostatecznie zrozumiałe, jeśli zgodzimy się, że malarstwo to nie jest pokrywanie powierzchni płóci farbami, lecz budowanie indywidualnej wizji świata. W latach realizmu socjalistycznego, lecz przede wszystkim w niemowlejącym okresie restytucji w Polsce tzw. sztuki nowoczesnej (1956 r.) koloryzm został raz na zawsze zdawano się, pogrzebany przez rzeczników nowych tendencji, którzy nieśli do swojej dyspozycji galerie i prasę, a więc najważniejsze instrumenty preferowania wartości i kształtowania opinii.

Filipiak i Kononowicz — wiem dobrze, jak często ci dwaj malarze przechodzili kryzys świadomości, borykali się ze zwątpieniem i jak cieszyli się, kiedy ich chwalono: pierwszego za kubizujące martwe natury i pejzaże kazi-  
mierskie, drugiego za „niemal ab-

ko w sztuce, likwidującym de facto walkę o racje i wartości, a zatem możliwość ostrego samookreślenia się, doświadczenia wspomnianych malarzy przypominają dramatyczną, intensywną, uwierzytelniającą sens ich wysiłku przygodę. Tym bardziej optymistyczną, że już około 1970 roku zaczęły pojawiać się w naszej publicystyce teksty rehabilitujące kapistów i ich potomstwo artystyczne zapoczątkowane świetnym esejem Jacka Woźniakowskiego w 2 numerze „Twórczości” ze wspomnianego roku. Ta tendencja trwa, o czym świadczy wielka wystawa koloryzmu, urządzona niedawno przez Muzeum Narodowe w Poznaniu. Ze smutkiem nachylając głowę nad ludźmi, którzy — Filipiak, Kononowicz, Nadulski — odeszli przedwcześnie, nie widzę powodu do żaloby nad artystami, uczestnikami pięknej, bo mocnej przygody. Daj boże, żeby i nam się coś podobnego zdarzyło, chociaż wątpię, aby...

Wiktor Ziolkowski to nieco inna historia. Zmarł w wieku 85 lat i w nekrologach prasowych napisano, że był znanym artystą plastykiem i publicystą, krytykiem sztuki. Tymczasem ten szczupły, wysoki, lekko zgarbiony mężczyzna, z łaską w dłoni i skórzaną torbęczką kołyszącą się na piersi, w zależności od pory roku nakryty albo furaczką, albo czapką z nasznikami — zatem Ziolkowski był przede wszystkim postacią, krzepiącym mitem, kimś kogo nieodzowną potrzebę obecności odczuwamy dopiero teraz, po jego śmierci. Mimo, że od wielu lat nie bywał już na wystawach, sporadycznie publikował drobne teksty, nie udzielał się w życiu środowiska, zaniedbywał ulubiony Klub MPIK przy Krakowskim Przedmieściu. Mimo, że potrafił być okrutny w swoich sądach o twórczości różnych ludzi, że z natury był ironiczny, zdystansowany do otoczenia, lekceważący oficjalne dowody uznania.

W 1913 roku rozpoczął Ziolkowski studia w krakowskiej ASP pod kierunkiem Mehoffera, Dębickiego i Kunzka, rychło popadając w konflikt z tym pierwszym, wybitnym zresztą artystą. Później, aż do 1926 roku, wykładał rysunek w szkołach lubelskich. Przez cały okres międzywojenny zajmował się organizacją wystaw malarstwa i grafiki opracowywał katalogi i pisał artykuły do prasy lubelskiej, czasami — do krakowskich „Masek” i „Wianków”, które, co bardzo istotne, propagowały nowatorskie na naszym gruncie idee „Formistów Polskich”. mimo, że w zasadzie orientowały się na młodopolszczyznę artystyczną. Ale te publikacje Ziolkowskiego, przynajmniej lubelskie, wcale tylko koligacje ujawniały z klasyczną krytyką sztuki, autor częściej analizował w nich kwestie z zakresu technik ekspozycyjnych i zagadnienia środowiskowo-organizacyjne, niż same dzieła. W sprawozdawczo-dziennikarskim tonie utrzymane są nawet teksty poświęcone Stanisławowi Zalewskiemu, z którym Ziolkowski uczęszczał do średniej „Szkoły Lubelskiej” i który na początku lat trzydziestych należał do najlepiej zapowiadających się malarzy polskich młodego pokolenia: prawdę mówiąc był już twórcą dojrzałym. Jako współorganizator Związku Artystów Plastyków w Lublinie (1936), Ziolkowski wspomagał stowarzyszenie piórem, broniąc je przed niechętnymi nowej formacji pomocnikami malarzy z innych kręgów. Jeśli zaś chodzi o oryginalną jego twórczość plastyczną, to wiem tyle, że zresztą rysował karykatury znanych osobistości lubelskich, uprawiał pejzaż, interesując się ponadto fotografią, której bazę stanowił aparat firmy „Kodak”. Wiele, wiele lat przed śmiercią zrezygnował z aspiracji artystycznych.

Drugim terenem działalności Ziolkowskiego, chyba równorzędnym pierwszemu, okazała się sztuka ludowa. „Był jednym z najczęstszych miłośników i zbieraczy jej okazów. Od roku 1920 zbierał rzeźbę ludową, wycinanki, wykładanki stonę, ceramikę, zwłaszcza kropielniczkę, drzeworyty, obrazy ludowe malowane na papierze itp... W r. 1923 odcisnął ręcznie i ro-

zesłał do polskich muzeów etnograficznych oraz udostępnił badaczom (Piwocki, Skoczylas i inni) lubelskie drzeworyty ludowe (św. Rodzina, Oko Opatrzności, św. Ambroży), których deski odnalazł w Lublinie” — stwierdził szesnastcie lat temu Henryk Zwolakiewicz, kolega szkolny Ziolkowskiego, także autor publikacji prasowych na temat sztuki ludowej.

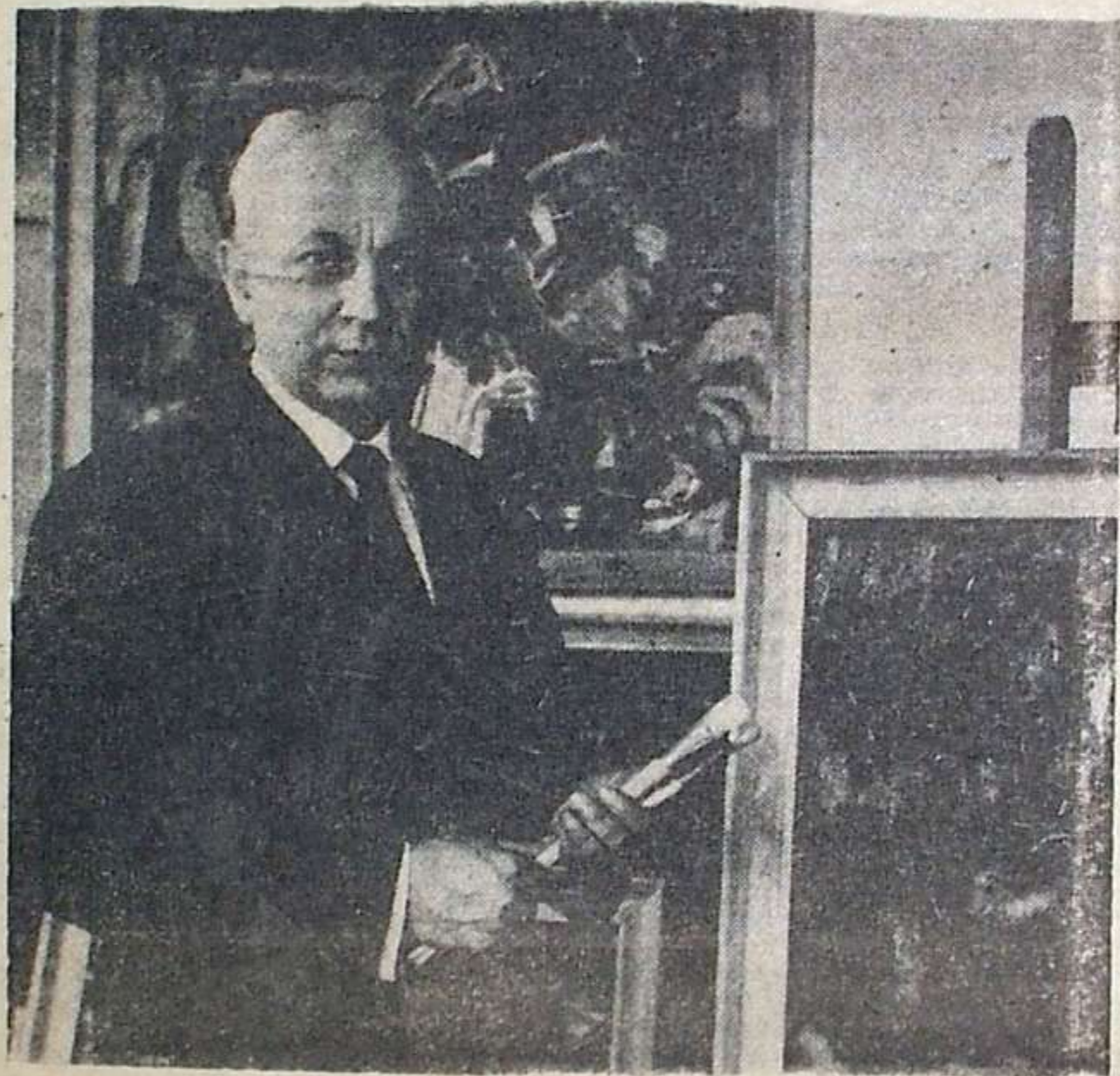
Po drugiej wojnie światowej Ziolkowski był dyrektorem Muzeum Lubelskiego (1945—1948) i członkiem powstałego w okresie PKWN zarządu głównego Związku Polskich Artystów Plastyków w pełni świadomy istoty nowego kontekstu społecznej sztuki. We wstępie do katalogu wystawy „Polonia” (grudzień 1944 — styczeń 1945) pisał: „Czynnikiem o szczególnie ważnym znaczeniu w organizacji dzisiejszej Związku Polskich Artystów Plastyków jest szeroka opieka państwa nad sztuką. Dzięki tej opiece artyści odczują po raz pierwszy w Polsce iż kwestia ich egzystencji i twórczości leży w interesach ogólnopństwowych”.

Jak twierdzą dobrzy znajomi Ziolkowskiego, ludzie z jego pokolenia lub nieco młodszy Jan Kot (pseudonim pana Wiktora) miał poza tym szczególny dar: zaczynania i nie kończenia dzieła, co w oczach obywateli wychowawczych i tradycji pozytywistycznej i „Silacze”, nie było zaletą, rzecz jasna. Trochę chyba nie rozumiano tej osobowości, której wartość naczelna stanowiła inicjowanie: sytuacji, organizacji, wydarzeń a nie żmudne realizowanie pomysłów.

Tę wartość dostrzegło dopiero pokolenie, które pojawiło się w kręgu sztuki około 1956 roku. Właśnie plastycy z grupy „Zamek” i zaprzyjaźnieni z nimi dziennikarze uformowali dobry męt Ziolkowskiego: starszego pana, oryginała, człowieka o niezależnym sądzie, świadka niejednej epoki artystycznej, konesera sztuki i ciągle gotowego do dyskusji cygana, osoby nie przywiązujecej większego znaczenia ani do przydzwiewku, ani do konwenansów. Ziolkowski trafił w samo serce bohemy tego okresu. Podczas wyborów do zarządu Koła Młodych Plastyków, z którego w 1957 roku wyłonił się „Zamek”, opiekunem Koła z ramienia związku plastyków wybrany został jednogłośnie p. Wiktor Ziolkowski — jak odnotowano w protokółie posiedzenia w dniu 15 kwietnia. Kolekcjoner wycinanek ludowych popierał „młodych gniewnych”, pisał o grupie „Zamek” w prasie lubelskiej, godzinami dyskutował z jej członkami w Klubie MPIK — a potem podnosił na szczupłych plecach welwetową marynareczkę i szedł posuwistym krokiem do mieszkania na Starym Mieście, które było i rzeźbiarnią i rodzajem składnicy znakomitych niezrędko dokumentów i dzieł sztuki. A czynił to w wieku 85 lat! Zdawało się być niezniszczalny, a tym samym wieczna zdawała się być sztuka, której istotę symbolizował choćby sposobem życia.

Nie jestem jednak taki pewien, czy zaakceptował wewnętrznie i dopatrywał się perspektyw rozwojowych w tych zjawiskach, które zaczęły pojawiać się w sztuce przy końcu lat sześćdziesiątych.

Takiej postaci, jaką żegnaliśmy niedawno z żalem, nie będzie w Lublinie już nigdy.



Edward Nadulski

Fot. A. Polakowski

Jatkowe, niepowtarzalne zagęszczenie ła historycznego, złożonego z faktów decydujących o kierunkach rozwojowych sztuki współczesnej. Kononowicz urodził się w 1904 roku, Filipiak cztery lata później, Nadulski, na początku pierwszej wojny światowej, Ziolkowski, który tylko w młodości czynnie zajmował się twórczością, przyszedł na świat jeszcze wcześniej, bo w 1893 r. w Lublinie. Wszyscy zatem byli albo uczestnikami, albo choćby świadkami tych ważnych wydarzeń, jakie od czasów kubizmu, futuryzmu, nadrealizmu i abstrakcji geometrycznej wstrząsały paradygmatem sztuki, poszerzały jej granice, mieszały w definicjach i klasyfikacjach historyków.

strakcyjne” pejzaże zimowe, pokazane m. in. na wystawie w „Zachęcie” w 1960 roku. Ale te koncesje na rzecz „śpiewów chóralnych” w polskiej plastyce owych lat okazywały się chwilowe i obaj wracali do płóci światlistych, budowanych intuicyjnie kolorem i nie tracących semantycznego związku z dookólną rzeczywistością. Nadulski, który jako zaangażowany bezpośrednio w działalność społeczną i polityczną zaczął malować na serio dopiero na początku lat sześćdziesiątych — także czasami machnął „abstrakcją”, aby autentycznie zrealizować się w seriach pejzaży, portretów, kwiatów...

Więc można zapytać, gdzie tu powód do refleksji pogodnej, jakby nie współczującej? A jednak... W porównaniu z dzisiejszym przyzwoleniem — społecznym, branżowym — na wszyst-



Aleksander Migo

## DOLINA PANICZA DOBREJ KRWI

*trawę i kamień traktuję z powagą  
należną rzeczom które pachną duchem  
mnie to w zielniki młode panny kładą  
lub przetrzymują pod pierzastym brzuchem*

*tysiąc lat zbieram drobne grosz po groszu  
a za koszulą chowam złotą kulę  
mnie z łyżką zupy pod niebo wynoszą  
pasą lukrecją nazywają królem*

*brodę mam miękką i wątrobę z melby  
w kwadrze księżycy ćwiartkę duszy sprzedam  
mój sęp domowy za dekoltem wiedźmy  
stygnie powoli ja sonetem ziewam*

*jak konkwistador z pastelową twarzą  
idę na ubój po wysiłku drzemię  
gdy dobrzy ludzie przy kominie gwarzą  
wierzę prawdziwie w trawę i kamienie*

## DOLINA MOJEJ MATKI

*znów ci ubyło serca i snów pod powieką  
w twoim domu biegają dwie ostatnie myszy  
jeszcze gościsz mnie w oku jeszcze skórę słyszysz  
choć pachniesz bukszpanem i zarastasz ziemię*

*jeszczem się w smaku mleka nie doszukał sadzy  
jeszcze mi nie po drodze do granicy kolan  
jeszczem się nie doliczył jeszcze nie dawał  
a już się pora dziwić i już cenić pora*

*na twojej twarzy świąty i moje i cudze  
i pacierz nakazany i żal wyuczony  
dla ciebie kiedyś dobrzy wymyślili ludzie  
wstawanie do udoju i śmiech dla obrony*

*jeszcze mnie widzisz w mieście jak przed balaskami  
calujesz skurczem gardła niedzielną zabawkę  
w górę patrzysz ze strachem kiedy nad drzewami  
ostatni jastrząb spłynie za morze ostatnie*

## U PRZYJACIÓŁ

# „Twierdza Brzeska”

Grigorij Bakijewicz

**K**IEDY piszę ten list, jest już po premierze sztuki „Oszust miłowoli” według powieści fińskiego pisarza Martti Larni, wystawionej przez brzeski teatr im. Lenińskiego Komsomolu Białorusi — w inscenizacji Nikołaja Matukowskiego. Przedstawieniem tym zamknęliśmy kolejny sezon teatralny w Brześciu. Teraz teatr wyruszył na trzymiesięczne występy gościnne — najpierw w samym obwodzie brzeskim, w Baranowiczach, a następnie na Ukrainie — w Charkowie i Czernihowie.

Warto przypomnieć, że miniony sezon rozpoczynaliśmy występami w Lublinie, który wszyscy darzymy tak wielkim sentymentem, i że w zamknięciu sezonu uczestniczyli nasi koledzy z lubelskiego teatru im. Juliusza Osterwy.

Zamknięcie sezonu teatralnego to zarazem czas dokonywania artystycznego bilansu minionego roku... Od jesieni ub. r. w repertuarze brzeskiego teatru pojawiło się szereg nowych sztuk — „I umilkły ptaki...” białoruskiego pisarza Iwana Mamiakina, „Niepojęta miłość” bułgarskiego dramaturga Nedelko Kordanowa, „Moje nadzieje” Michaiła Szatrowa, „Prowincjonalne anegdoty” Aleksandra Wampilowa... Obchodziliśmy też na naszej scenie szczególne święto: 25-lecie przedstawienia „Twierdza Brzeska”. Lubelscy widzowie znają tę sztukę z gościnnych występów brzeskiego teatru w 1958 r. i właśnie o tym przedstawieniu chciałbym tutaj napisać szerzej.

19 marca 1953 r. Teatr im. Lenińskiego Komsomolu Białorusi występował z kolejną premierą... Każda premiera teatralna, każde pierwsze takie spotkanie z widzem, to dla teatru dzień niezwykle pełen napięcia i wzruszenia. Ale owego wieczoru to wzruszenie było szczególnie silne. Oto na scenę po raz pierwszy wychodzili bohaterowie drogi i bliscy — nie tylko twórcom przedstawienia, ale i publiczności. Od chwili, kiedy rozszła się wiadomość, że teatr przygotowuje sztukę o obrońcach twierdzy nad Bugiem, miasto żyło oczekiwaniem premiery. Wreszcie nadszedł czas owego egzaminu, jaki teatr miał zdać przed świadkami pamiętnych wydarzeń; przede wszystkim egzamin dla twórcy sztuki Kastusa Gubarewicz,

reżysera Aleksandra Mironskiego i aktorów kreujących postacie obrońców twierdzy brzeskiej.

Tamtego wieczoru, przed dwudziestu pięciu laty, twórcy przedstawienia nie myśleli nawet, że od tego spektaklu rozpoczyna się najbardziej chwalebna kartka w historii teatru, że dzięki „Twierdzy Brzeskiej” teatr zyska szeroki rozgłos i uznanie widzów. Przedstawienie pokazywało bohaterów obrońców twierdzy w ich ludzkim wymiarze, wskazywało na miłość ojczyzny, którą byli przepelnieni, dla której gotowi byli poświęcić życie. To stawiało ich na piedestale bohaterstwa. Autorom przedstawienia udało się przekazać prawdę o istocie wysiłku i poświęcenia żołnierzy brzeskiego garnizonu, prawdę o ludzkich charakterach i to właśnie było jednym z głównych atutów spektaklu.

Wybiegając nieco w przyszłość dodam, że wszyscy autentyczni obrońcy

twierdzy, którzy później oglądali przedstawienie, zawsze podkreślali jego prawdziwość, odnajdywali w losach bohaterów swoje własne przeżycia. Może to się na pierwszy rzut oka wydać dziwne, jako że autor sztuki, Kastus Gubarewicz, niejednokrotnie mówił, że w czasie pracy nad „Twierdzą Brzeską” nie dysponował prawie żadnymi materiałami oprócz bardzo skromnych relacji dwóch czy trzech obrońców i to w dodatku z pierwszych tylko dni obrony. W znacznej mierze kierował się wycuciem, odczytywaniem atmosfery tamtych dni z zachowanych ruin, spalonych drzew, kazamatów, cytadeli, które były świadkami bohaterskich walk. Prawda zawarta w przedstawieniu to również zasługa aktorów: Maksima Abramowa, Pietra Markina, Jurija Własowa, Tatiany Zarienok, Anny Koczetkowej, Boryca Uksusowa i zresztą wszystkich jego uczestników, którzy traktowali swoją pracę nie tylko w rozumieniu artystycznym ale także — obywatelskim. Ja ko dług splecany tym, którzy w burzliwym roku 1941 przyjęli na siebie pierwsze derzenie wroga i zostali tutaj, pod gruzami twierdzy.

Premierowy spektakl podbił za jednym zamachem serca widzowi. „Twierdza Brzeska” szła przez następnych trzydzieści wieczorów przy pełnych kompletach, przy niegasnącym zainteresowaniu mieszkańców Brześcia. Niektórzy oglądali przedstawienie po kilka razy i zawsze odkrywali w nim coś dla siebie nowego. Ta sama reakcja powtarzała się i w innych miastach, do których wyjeżdżał teatr z Brześcia: w Mińsku i Kałiningradzie, w Witebsku i Charkowie, w Homlu i Lwowie... Grano „Twierdzą

Brzeską” w Moskwie, w teatrze kremleńskim, prezentowano ją w centralnym programie telewizji. Zna ją cały kraj. A mimo to mimo upływu lat zainteresowanie przedstawieniem nie ustaje. Dorasta nowe pokolenie, które chce na własne oczy przekonać się, jakcy oni byli — owi znani już tylko z historii — bohaterowie?

W dniu jubileuszu dwudziestopięcioletnia „Twierdzy Brzeskiej” na afiszu przy tytule figurowała liczba: 829. To oznaczało, że przedstawienie prezentowane było osiemset dwadzieścia dziewięć razy! Wspomnieliśmy wówczas 787 spektakli, ze stycznia 1976 roku...

Na scenie pojawili się — Georgij Wołkow, reżyser i zarazem twórca nowej inscenizacji „Twierdzy Brzeskiej”, dokonanej z nowym zespołem aktorskim w 1975 r. w związku z 30 rocznicą Zwycięstwa — oraz podpułkownik Armii Radzieckiej, Piotr Kotelnikow, uczestnik obrony twierdzy nad Bugiem. Na widowni siedziały w ciszy setki młodych widzów, którzy przyjechali do Brześcia w czasie zimowych ferii z Kijowa, Charkowa i Odessy, aby tutaj oddać hołd pamięci ludzi, którzy broń brzeskiej cytadeli Piotr Pawłowicz mówił o swoich towarzyszach broni, o tych nieżyjących już rówieśnikach młodzieży siedzącej dzisiaj na widowni, których potem nazwano „bohaterami” twierdzy brzeskiej.

Był to wieczór szczególny i ze szczególnym wzruszeniem grali swoje role Iwan Mackiewicz, Witalij Kostalczew, Tatiana Wołkowa, Ludmiła Siniełnik, Tamara Wolezcka, Michaił Mogilewski i wielu innych młodych aktorów, którzy przejęli jakby artystyczną sztafetę tego przedstawienia z rąk kolegów — „weteranów”.

Oto jedna tylko, może nie najważniejsza nawet kartka z historii przedstawienia, które zostało wyróżnione wysoką nagrodą Komsomolu... Ale właśnie takie spotkania jak opisane powyżej są dla teatru szczególnie drogie. Tym bardziej, kiedy słowa uznania płyną z ust młodych widzów.

Teraz, kiedy „Twierdza Brzeska” wkrocza w następne dwudziestopięcioletnie scenicznej historii, zespół teatru wraz z autorem sztuki, Kastusem Gubarewiczem, zastanawia się nad przyszłością przedstawienia. Powinno ono żyć dalej, nadal uczyć młodych i heroizmu, świadczyć o tym, jak spełnia się misja wyznaczona przez los. I powinno być również godne owych autentycznych bohaterów, których czyny zostały upamiętnione monumentalnym pomnikiem — na miejscu dawnych walk... Obecnie brzeski teatr pracuje wraz z dramaturgiem nad nowym wariantem „Twierdzy Brzeskiej”, przedstawieniem, które zaprezentujemy publiczności w najbliższym sezonie, w związku z 60-leciem Radzieckiej Białorusi.

Tłumaczył MD



Jedna ze scen „Twierdzy Brzeskiej”

Zdjęcie z archiwum autora



## Z INNEJ GLINY

„jest nad stanami stanów stan...”

Miejscem dłoni i już nawet nie tą garbowaną skórą  
ale włóknem i kością nagą wprost dotykającej  
ciepło ptaka czy wilgoć listka

Uczuciem tak do dna wszelką nędzę i nieszczęściem zdeptany

że miłość to dzielenie się kruszyną chleba

kaszle śmiechu gardło zżarte solą lkania

Nikt bowiem nie ma takiej skali  
jak człowiek badacz urzędnie człowiekiem

Który

by nie stracił tej jedynej szansy przebywania z prawdą piżmem  
tą ręką okaleczoną tym kikutem uczucia  
tym co jest w nim jeszcze z pragnień  
z jego przodków, jego ziemi, pchany wolą  
z której śmiać się będzie klnąc przy budce z piwem

ten kikut wystawi ponad wszelkie w kłamstwie zbudowane miasto  
w promień słońca  
i na jego rozszarpanych tkankach  
sprawdzi w sobie błyskawicę tego gestu  
ze strzępami przypomnienia bez rozkoszy

Z miską czegoś w kąciku z myślą

że za szczęście to trzeba zapłacić

A tęsknota za godzinę snu zwykłego

jak gdzieś w bajkach szczyty wszystkich tęsknot

obracalaby wiatraki

don Kichotów

młyny Szejwków

W czasce która była jego tylko głową  
w oczodolach które były jego tylko wzrokiem

oczy co widziały wszystko  
co były świadkami

przed którymi teraz  
rozstąpiły się galaktyki wyobrażeń

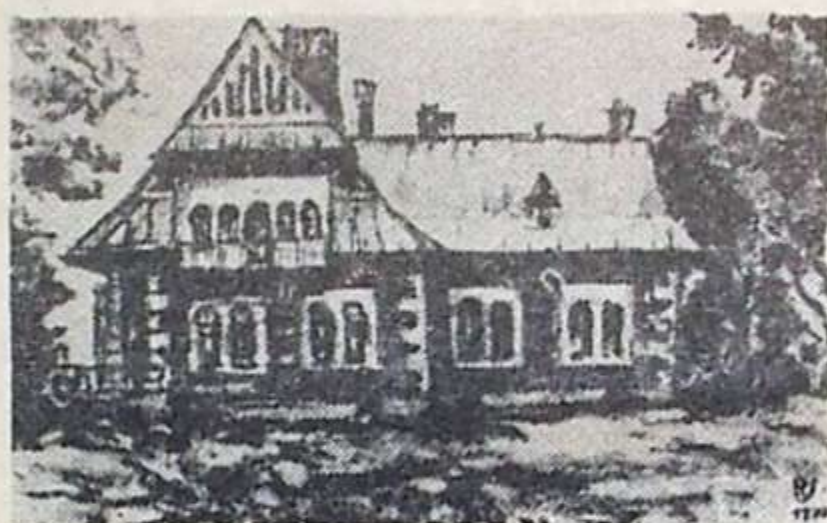
możliwych do zniszczenia

nie widzą barw  
w nieprzeniknionej oponie bielma

jak dudniący majak  
co bez rodowodu a cielesny  
w tej obłej współnocie sączen  
w punkt w pustynię nie ludzkiego już trwania  
w ruch żdźbel i rolowanie się wraz z kamieniami ziemskiego pomiotu

(Od redakcji: autorka żyje w kręgu Polonii Amerykańskiej)

ZAPOMNIANE  
ZABYTKI  
W RYSUNKU  
R. URBANOWICZA



Łańcuchów — dwór

Fot. J. Kolasa

Widoczny na rysunku dwór w Łańcuchowie zbudowany został w latach 1903 — 1904 według projektu Stanisława Witkiewicza twórcy narodowego stylu polskiego, za jaki uznano „styl zakopiański”. O wyborze kształtu łańcuchowskiej rezydencji zdecydowały niewątpliwie ludowo-narodowe orientacje ówczesnego właściciela Łańcuchowa Jana Steckiego, późniejszego prezydenta Związku Ziemian. Dwór w Łańcuchowie — wbrew pozorom — nie jest budynkiem drewnianym. Tradycyjnie stosowane w budowach projektowanych przez Stanisława Witkiewicza drewno ustąpiło tu miejsca czerwonemu murowi i jasnym, wykonanym w narzucie dekoracjom o motywach nawiązujących do zbudowania drewniane.

Dwór w Łańcuchowie należy obok dworca kolejowego w Sylgudyszkach na Litwie (z której pochodził Stanisław Witkiewicz) i Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem do wyjątkowych przykładów zastosowania góralskich form „stylu zakopiańskiego” w murze.

Użytkowany obecnie dla potrzeb lecznictwa dwór w Łańcuchowie przeżył po wyzwoleniu w r. 1944 okres swej świetności, gdy decyzją Resortu Kultury i Sztuki Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powołano tu „dom plastyka”, czynny w latach 1944 — 1945.

Utrwalony w rysunku Rajmunda Urbanowicza dwór w Łańcuchowie, pominięty w wydanym w r. 1967 Katalogu Zabytków Sztuki, od r. 1972 figuruje w rejestrze zabytków.

(ak)

**W** KRAJU mamy około 30 muzeów biograficzno-literackich i izb pamięci poświęconych sławnym pisarzom Gromadzą one rękopisy, pierwodruki i inne pamiątki oraz upowszechniają dorobek literacki. W naszym regionie placówki takie istnieją m. in. w Nałęczowie, gdzie znajdują się muzea Bolesława Prusa i Stefana Żeromskiego, oraz w Romanowie — Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wśród wszystkich muzeów biograficznych wiodącą rolę pełni Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, będące jedynym tego typu w Polsce. Ma ono bogate zbiory dotyczące całości naszej literatury. Właśnie w br muzeum obchodzi jubileusz — czterdzięciu lat — ze wszech miar pożytecznej działalności. Najpierw placówka nie miała własnego lokalu i korzystała z udostępnionych jej pomieszczeń Muzeum Historycznego. W roku 1953 zorganizowano pierwszą ekspozycję mickiewiczką w dwu kamienicach przy Rynku na Starym Mieście. Od tego czasu są one siedzibą muzeum.

Początkowo miało aż dwóch patronów — Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, potem przemianowano je na Muzeum Mickiewicza, a od 1971 roku nazwano Muzeum Literatury. Ma ono swe placówki w różnych miejscowościach kraju.

W pierwszym, najtrudniejszym okresie działalności — mówi zastępca dyrektora muzeum, mgr Barbara Wiechno — gromadziliśmy pamiątki związane wyłącznie z Mickiewiczem. Były to stosunkowo liczne dary i przekazy osób mieszkających w kraju i za granicą. Mimo upływu lat otrzymaliśmy cenne i unikalne zbiory.

W ostatnich latach placówka zmieniła charakter z biograficznego na historyczno-literacki. Muzeum otacza o-

piękną spuściznę pisarzy i ich pamiątki. Zajmuje się także upowszechnianiem wiedzy o twórcach i literaturze polskiej od początku jej istnienia aż po czasy współczesne.

Główne bogactwo muzeum stanowią zbiory rękopiśmienne i biblioteka. Zgromadzone wiele bezcennych dzieł sztuki, rękopisów druków, rzadkich wydań książek z dedykacjami i marginaliami autorów. Najwartościowszym — informuje nas kierownik Działu Rękopisów Tadeusz Januszewski — jest rękopis „Grażyny” A. Mickiewicza. Zabytek udało się uratować z pożogi wojennej. Rękopis jest nieco nadpalony. Mamymy ponadto ok. 100 innych rękopisów naszego wieszca, pamiątki po Władysławie, Marii i Józefie Mickiewiczach. Wnuczka poety Maria ofiarowała wszystkie eksponaty po sławnym dziadku.

Muzeum Literatury posiada też rękopisy Juliusza Słowackiego, Zygmunta Kraszińskiego, listy Elżbiety Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, Marii Konopnickiej, Stefana Żeromskiego. Ocalała również część archiwum Filomatów.

Są też rękopisy Juliana Przybosa, K. I. Gałczyńskiego, Juliana Tuwima, Leona Kruczkowskiego. Z Paryża przywieziono zbiory znanego poety Jana Brzechowskiego.

Biblioteka zawiera przeszło 80 tys. woluminów. Część z nich to zbiory Biblioteki Polskiej z Paryża. 100 tomów pochodzi ze zbiorów Adama Mickiewicza. Są też księgozbiory Juliana Tuwima, Marii Dąbrowskiej, Zofii Nalkowskiej, Leopolda Staffa i wielu innych

## Od wystawy do Muzeum Literatury

Mieczysław Kościński

znanych pisarzy i poetów współczesnych.

Bogaty jest również Dział Sztuki. Z niemałą ciekawością oglądane są pamiątki po pisarzach, stanowiące niegdyś wyposażenie ich mieszkań, bądź będące przedmiotami codziennego użytku. Zachowały się portrety Mickiewicza, namalowane przez H. Rodakowskiego, liczne portrety i kompozycje Stanisława Ignacego Witkiewicza, rzeźby głowy Mickiewicza, wykonane przez Ksawerego Dunikowskiego i Dawida d'Angers. Ze względu na szczupłość pomieszczeń nie wszystkie zbiory mogą być pokazywane zwiedzającym.

Najmłodszy dział stanowi Archiwum Foniczne, gromadzące taśmy magnetofonowe z rozmowami pisarzy m. in. Zofii Nalkowskiej, Marii Dąbrowskiej, Władysława Broniewskiego, Juliana Przybosa, Leona Kruczkowskiego, Leopolda Staffa, K. I. Gałczyńskiego. Utrwalone zostały wywiady z ponad 50 pisarzami.

Podstawową formą pracy Muzeum Literatury są ekspozycje najciekawszych dzieł, plastyczne ich wizje, połączone z muzyką danej epoki. Ta forma popularyzacji utworów wyróżnia placówkę wśród pozostałych. Odbywają się w muzeum „Wieczory Pamięci” poświęcone zmarłym pisarzom, koncerty poezji oraz inne imprezy. Uczestniczą w nich przedstawiciele środowisk twórczych, młodzież szkolna i akademicka. Muzeum prowadzi również zajęcia fakultatywne dla uczniów i studentów, oraz kursy dla nauczycieli języka i literatury polskiej za granicą.

Z roku na rok pomyślnie rozwija się współpraca Muzeum Literatury z podobnymi placówkami za granicą. Od lat ożywiają te kontakty m. in. z Muzeum Aleksandra Puszkina w Moskwie, muzeami Goethego i Schillera w Weimarze, Kraszewskiego w Dreźnie, Petőfiiego w Budapeszcie, Piśmiennictwa Narodowego w Pradze. Współpraca polega na wymianie dokumentów, wystaw, najnowszych przekładów dzieł Mickiewicza, Słowackiego i innych autorów. Warszawskie muzeum samo organizuje za granicą wystawy poświęcone naszym twórcom. Np. w Budapeszcie, Berlinie i Lipsku były ostatnio wystawy popularyzujące dorobek poetycki i malarski Stanisława Wyspiańskiego. We Francji prezentowano wystawę pn. „literaci w portretach Witkiewicza” oraz rysunki Brunona Schulza, zaś ekspozycja w Teatrze im. Wachtangowa w Moskwie dotyczyła twórczości Jarosława Iwaszkiewicza i plakatu teatralnego.

W ciągu 25 lat istnienia muzeum zorganizowano przeszło 40 wystaw w kraju i za granicą. Obecnie w siedzibie placówki można obejrzeć trzy ekspozycje: Pan Tadeusz — przy pomocy rekwizytów i muzyki udało się odtworzyć gładki klimat poematu. Zwiedzający oglądają z zaciekawieniem fragmenty utworu, pierwsze jego wydanie w Paryżu w 1834 roku, ilustracje Michała Elwiro Andriollego, portrety poety, króla St. A. Poniatowskiego i Jana Henryka Dąbrowskiego.

Czynna jest także wystawa poświęcona Bolesławowi Leśmianowi — „Strój” oraz ekspozycja dzieł sztuki w ciągu tematycznym od Oświecenia do Młodej Polski.

Z planów na najbliższy okres warto wymienić pożyteczną inicjatywę urządzenia w muzeum w Weimarze pokoju poświęconego przyjaźni Mickiewicza z Goethem, a w Moskwie podobnego pokoju przyjaźni, jaka łączyła Mickiewicza z Puszkinem.



**M**USZĘ napisać, że nie umięję sobie inaczej poradzić, poszedłem do Wydziału Finansowego, aby mi podpowiedzieli nazwisko rzemieślnika, który robi duże pieniądze ciężką pracą i zaradnością jedynie, a bez grzechów fiskalnych. Nazwisko padło kilka, ale nie o to idzie.

Trudno jest się wyzwoić spod stereotypu prywatnicarza: wykreca rocznie milionowe obroty, ma dom na osiedlu zwanym „Złodziejówką” mercedesa w garażu, palisandry na pokojach, podświetloną fontannę w salonie, „Napoleony” w barku, dolary ukryte, i kanty finansowe na sumieniu.

Wyobrażenie takie, którego geneza głównie w badylarskich modelach życiowej pomysłowości, niepotrzebnie sprząda odium kapitalizacji na cale prywatne rzemiosło i wyzwala społeczne frustracje.

Znam urzędnika średnio zdolnego, który pije z rozpaczą, bo stwierdził, że zbyt mało zarabia, catery dwieście przeciętnie, co skreśla wszelkie perspektywy dostatecznego prosperowania. Więc pije on z braku perspektywy głównie. Szlochając w kamizelkę, psioczy na państwową posadę i zamierza uruchomić ciche badylarstwo na działce pracowniczej. Dopiero wtedy — twierdzi — złapie kolorowego ptaka w garść. Stąd już niedaleko do „prawdy” — nie będziesz kradł, nie będziesz jadł!

Gdy mój urzędnik, nocny pijaczek, ściąga skruszony ku domowej macierzy przed piątą rano, piekarnię Sergiusza Kuźmika opuszcza samochód ciężarowy z pierwszą partią świeżego pieczywa do sklepów. Kuźmiuk wstaje codziennie świtem, między 3.00 a 4.00, żeby przypilnować i wyeksponować najwcześniejszą dostawę, a potem już zostaje w piekarni.

Ostatnim, czasy mąka jakby marniejsza. Gatunek na bułki bywa gorszy niż na chleb. Od jakości mąki zależy prowadzenie fermentacji ciasta, które raz jest wolne, raz sżywne a od tego znowu zależy rozrost porowatość kęsów. Z dobrego surowca trudno zepsuć pieczywo, ale gdy się robi ze słabszego, trzeba dużo pracy, aby miało wygląd i smak.

Wszyscy, prywatni, i państwowi, piekarze mają ten sam surowiec, te same receptury, lecz jedna kajzerka pulchna, druga zaś gniot, za przeproszeniem, kurdupłowaty. Chodzi o to, iż Kuźmiuk z pięcioma pracownikami swoje małej piekarni może i musi się nieco dłużej pobawić przy produkcji, inaczej by zginął z rynku i przepadł bez wieści.

Weźmy bowiem z drugiej strony — na czym polegają interesa wielkiej, wysocze zmechanizowanej firmy piekarniczej, która gonią plany, wskaźniki i która jest potentatem rynkowym? Żeby produkować bardzo dużo i szybko, więc w wąskim asortymencie i nie zawsze w najwyższej jakości. Tymczasem konsument zmuszony na ogół do kupowania masówki, niekiedy wprost marzy o pieczywie smaczkowym i różnorodnym.

Właśnie w tę lukę między oczekiwaniem zjadacza chleba a zdolnością przemysłu piekarniczego wsuwa się skrómnie acz elastycznie Sergiusz Kuźmiuk ze swoim chlebem poznańskim, mazurskim, mazowieckim i podlaskim, oraz ze swoimi kajzerkami, węgierkami, brykiesami, obwarzankami, parkami, rogaliem, chałkami, struclami, maślami, wrocławskimi małymi, średnimi i dużymi.

Na tym mniej więcej polegałaby ogólna metafizyka piekarnictwa polskiego, którą wyznaje Sergiusz Kuźmiuk, zwolennik niedużych, operatywnych piekarni. Bo kajzerka ręcznie zrobiona to jednak nie ta sama kajzerka, co ucieta seryjnie na sztancy. Ze względu zatem ogólnych Kuźmiuk może pochwalić konkurencję, czyli małą piekarnię państwową przy ulicy Strażackiej w Lublinie wraz z jej sklepem firmowym. Szczególnie, że w mieście brak szerszego asortymentu i dobrej jakości pieczywa.

Zakład Kuźmika, jedna z sześciu prywatnych piekarni lubelskich, zaopatruje w całości pięć sklepów WSS „Społem”, raczej peryferyjnych, sklep prywatny i trochę sprzedaje we własnym kantorku. Firma gnieździ się na parterze starego budynku, w lokalu wynajętym od miasta. Dom może być gdzie zburzony, a może remontowany, Kuźmiuk nie wie. Słyszał, iż w Warszawie w nowych dzielnicach przyznają rzemieślnikom lokale. Żeby coś takiego było w Lublinie, nie słyszał. Zbudować i uruchomić piekarnię — koszt ogromny. Sam piec mechaniczny — blisko 400 tysięcy. Zatem on by się głęboko zastanawiał nad nową inwestycją — ani też chyba

Jaka u niego mechanika? Maszyna

elektryczna, która miesi ciasto, wraz z kompletem czterech kotłów. Rogalówka i przesiewacz, także elektryczne. Dzielarka ręczna. Więcej mu nie potrzeba. Wszystko to nabył ojciec Kuźmika dziesięć lat temu ze złomu, a następnie przekazał synowi wraz z firmą, która funkcjonuje nieprzerwanie od 1944 roku. Aha, no i jeszcze posiada Kuźmiuk Sergiusz samochód ciężarowy marki „Lublin” dla dostaw pieczywa, wyprodukowany we wczesnych latach pięćdziesiątych, a kupiony we wczesnych latach sześćdziesiątych, przedtem był „dodge” z demobilu, przy którym młody Kuźmiuk zasmakował samochodziarstwa, co mu już pozostało.

Tak więc firma wraz ze swoim patronem wstajacym regularnie o 3.00 nad ranem, nie jest przesadnie kapitalistyczna, chociaż prócz pięciu pra-

cowników produkcyjnych zatrudnia jeszcze kierowcę i konwojenta, poza tym dziennie przeszło 1-tonę mąki i wykreca rocznie blisko cztery miliony złotych obrotu. Z mąką zresztą czasem bywają kłopoty na przednówku, maku bywa brak, kminek rzekomo jest. W ten oto sposób upływa produkcyjny żywot Sergiusza Kuźmika. Od przedkwasu, poprzez półkwas i kwas, aż do ciasta i chleba, jeśli mu akurat nie wypadnie szukać po mieście godzinami trzech zwyczajnych őrub do samochodu marki „Lublin”.

Kuźmiuk twierdzi, że po ostatnich decyzjach w sprawie rzemiosła jego sytuacja znacznie się poprawiła. Polegało na tym, iż poprzednio płacił około 12 tysięcy złotych podatku miesięcznie, obecnie zaś 3770 złotych ryczałtu umownego miesięcznie. Wprawdzie cena

gaza skoczyła, którym on pali w swoich piecach piekarniczych, narzędzia skoczyły, mak skoczył, cebula skoczyła, ale i tak ułga jest bardzo wyraźna. Mąka bez zmian.

No i uproszczenie biurokracji zasadnicze. Zwolniony został od prowadzenia ksiąg produkcyjnych, magazynowych, podatkowych, ma tylko notować zakupy podstawowych surowców. Tak że dwie godziny dziennie zyskał na tym i przestał się już bawić w księgowego, a jedynie jeszcze musi być kierowcą, zaopatrzeniowcem, mechanikiem i portierem.

Ponadto zauważa większe zaufanie władz finansowych do rzemieślnika. Gdy kupił w ceszłym roku duży fiat, nie musiał się tłumaczyć, czy stać go na to było, skąd wziął gotówkę. Winażowałby sobie takiego zaufania ze strony innych kontrahentów „Społem” może mu w każdej chwili wypowiedzieć umowę na dostawę pieczywa. Jak już się raz zdarzyło, i co wtedy? Wprawdzie cofnęli, bo doszli do wniosku, że swoimi piekarniami nie dadzą rady miastu, ale gdyby nie doszli do wniosku? Więc buławka jeszcze trochę jest.

Sergiusz Kuźmiuk, syn piekarza, ma 41 lat. Skończył liceum ogólnokształcące i starał się na budownictwo lądowe w Politechnice Warszawskiej, nie dostał się z braku miejsc, zaczął ojcu pomagać w piekarni. Odbił służbę w Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego w Warszawie, znowu stanął u ojca do pracy. Ożenił się w roku 1963 i wtedy przystąpił do oficjalnej spółki z ojcem. Samodzielnie prowadzi firmę od czterech lat.

Obraca milionami, ale milionerem nie jest. Ma dwa średnie pokoje z dużą kuchnią, czyli trzecią część domu, w którym ponadto mieszkają jego rodzice i starszy brat, kierownik piekarni GS w Jastkowie. Dom nabyli do spółki rodzinnej w 1963 roku za 300 tysięcy, z czego musieli się wówczas skrupulatnie rozliczyć przed władzami fiskalnymi. Budynek oszukany bez ław fundamentowych, który teraz pęka i domaga się remontu. Garaż Sergiusz Kuźmiuk potem sam dobudował, trzyma w nim swego fiata.

Ma w mieszkaniu meble typu regałowego, telewizor czarno-biały polski, magnetofon też polski, pralkę automatyczną jugosłowiańską, lodówkę, nie zdążyłem zauważyć jaką, telefon wyła „Karata” bez odowodu, siódmego z miotu, i czyste konto w Wydziale Finansowym. Wszystko jest wymierne, opowiedziane prosto, posiada swoją cenę, uczciwie zapłaconą.

Gdy rozmawiamy po pokoju kręci się żona Sergiusza Kuźmika, przystojna, zadbana brunetka. Ona pracuje tylko w domu, dzieci mają matkę, rodzina ma domowe obiady. Chłopiec skończył osiem lat. Dziewczynka dwanaście, przynosi pierwszorzędną świadectwa szkolne i osiąga znakomite wyniki w pływaniu, czym ojciec bardzo się chwali, wyciągając dyplomy sportowe córki. Dochodzimy do wniosku z Kuźmiukiem że musieliśmy się widywać na basenie AOS-u kiedy pływały nasze pocihy, chodzące zresztą jak się okazuje do tej samej szkoły.

Sergiusz Kuźmiuk ma ze swojej piekarni około 12 tysięcy miesięcznie na czysto. Ponadto zapieczę w postaci wieloletnich oszczędności. Co za to można? Jak widzę. Ponadto można wyjechać z rodziną na urlop zagraniczny. Samochodem lub Sport-Turistem. Ostatnio byli w Soczi przez dwa tygodnie, w pierwszej połowie lipca. Ale potem musieli wracać bo szykował się remont piekarni, przy którym obecność Kuźmika absolutnie konieczna. Tak samo jest i w produkcji. Nieraz pracuje się nocami, właściwie stale trzeba być, ludzi pilnować, czasem skarcić, częściej wódkę postawić po robocie, pieniądze pożyczyc i zapomnieć. Bo o nową kadre ciężko, nikt nie pyta o naukę zawodu, więc po co ja pytam o prestiż społeczny prywatnego piekarza?

Czy warto zatem? A gdzie on — powiada — zarobi więcej przy swoim średnim wykształceniu ogólnokształcącym. Wyciągnąć dwunastkę nie jest taka prosta sprawa. Czy tylko o pieniądzu chodzi? No, tak remont piekarni się ciągnie, zaglądamy klienti do kantorka. A kiedy pan — pytają — wręczyć ruszyć, panie Kuźmiuk?

Błędnie demoniczny obraz prywatnicarza. Z tej roboty w chlebie wylania się żywot człowieka poczciwego, który bez wielkiego filozofowania chce i potrafi solidnie i mądrze pracować, zarabiając na własny kawałek chleba z masłem i ciesząc się tym. Po prostu.

# Ani kapitalista ani milioner

Maciej Podgóski





gion doskonałe, ale i on niebawem odciąga moją uwagę od odcinka Wisły, którego losy w kształtującym się planie pragnąłbym najbardziej poznać. Uczyni to jeszcze wcześniej, gdy potem przejdziemy do Pracowni Gospodarki Wodnej, w której pełni funkcję zastępcy kierownika. Liczne mapy, szczegółowe rozpracowania, wszystko, co nakreśliły pracowite ręce projektantów w ostatnim ćwierćwieczu koncentruje się głównie na południu kraju.

Czy więc nasz odcinek Wisły zostanie pominięty, czy wielki program, przedstawiony przez Edwarda Gierka oraz uchwała czerwcowego Plenum KC PZPR, w swoim szczegółowym rozpracowaniu, tak mało dotyczyć będą środkowej części rzeki? Nie, na pewno nie. Oto już inne mapy, dodatkowe opracowania słowne, duże i mniejsze zespoły projektów dotyczące tego odcinka. Widzę jednak wyraźnie powiązania geograficzne, o których już napisałem.

Wyżyna Lubelska. Jej ukształtowanie jest takie, że wody naturalne z niej spływają, skutki opadów

szy raz mogłyby się zetknąć z przemysłowymi zanieczyszczeniami, będzie je musiał w sporej części oddać. Zabierze je, przewidywany na o wiele późniejszy okres inny kanał, który zostanie poprowadzony na północ, ku naszej Tanwi. Tanew jednak także się nimi nie nacieszy, bo — jak już powiedzieliśmy — i od niej zostaną one zabrane. Rozpoczęcia izbielkiej inwestycji należy się spodziewać już w przyszłej pięcioletce. Z przeznaczonych prawie pół biliona złotych dla dwóch trzecich kraju, objętych zasięgiem programu „Wisła”, spora ich część posłuży wzbogaceniu zasobów wodnych Lubelszczyzny oraz wszystkiego, co się z nimi wiąże. Izbielka zaspokołi potrzeby naszego makroregionu na sporo lat: optymiści mówią o dziesięciu, bardziej umiarkowani fachowcy o pięciu, i wtedy właśnie będzie potrzebna woda ze wspomnianych kanałów. A potem zapewne czysta będzie także Wisła i wtedy z niej — gdyby była tego potrzeba — będzie można zaczerpnąć, bo jej zasoby staną się w tym czasie już nieprzebrane.

Tymczasem jednak te zasoby, które magazynować i regulować będzie Izbielka, wzbogacą Wieprz i jego

nych w latach 1968—72 (udział funduszy tej Organizacji w wysokości 1 100 000 dolarów na prace badawcze, sprzęt naukowy oraz stypendia wyjazdowe polskich specjalistów). Pierwsi projektodawcy, chociaż widzieli rzecz całościowo, siłą rzeczy musieli swoje propozycje ograniczać do ówczesnych możliwości technicznych i ekonomicznych kraju. Dopiero teraz możliwy jest plan maksymalny i optymalny zarazem. Przed nami zadanie, które rozpałi może wyobraźnię wszystkich Polaków. Staje się wielką możliwością dla tych, którzy od dawna zdawali sobie sprawę z jego konieczności, ale przede wszystkim dla pokolenia wstępującego teraz w wiek produkcyjny. Już nie tylko marzenie, ale możliwość jego spełnienia, przeobrażającego wszystko po obu stronach królowej polskich rzek...

Czas jednak, by przekonać się, co zmieni się na interesującym nas odcinku — właśnie od ujścia Sanu, od Zawichostu aż poniżej Deblina. Napisałem już, że w rejonie Janowca — Kazimierza zaniechano budowy zbiornika. Zdecydowano się na korzystniejszą magazynowanie wód dopływów karpackich Wisły. Zabezpieczenia przeciwpowodziowe ich dolin byłyby i tak potrzebne, a w całym dorzeczu górnej części tej rzeki należałoby i tak natychmiast budować dziesiątki oczyszczalni ścieków. Jest to zamierzeniem prawie na całe najbliższe dwudziestolecie. Dzięki temu nie ulegnie radykalnej zmianie krajobraz terenu, którym interesuje się niemal każdy Polak, chodził przecież o zabytkowy Kazimierz. Przeciwnie, projektanci pragną, aby w tej okolicy, zresztą na całej środkowej i północnej części Wisły zachowała możliwie pełne walory rzeki naturalnej, pomimo budowy stopni wodnych. Ma ona przecież być żeglowna niemal na całej swojej długości, od Przemysłu, czyli od Oświęcimia aż po ujście, a więc do Gdańska, do Bałtyku. Ma się stać śródlądową drogą dla zestawów barek o ładowności trzech i pół tysiąca ton. Aby to było możliwe, trzeba zapewnić na stałe dwu i pół metrowe co najmniej zanurzenie barek i statków. Chciałbym pojąć miarę tego zadania, przypomnijmy, że obecnie w okresie letnich suszy poziom ten spada do około pięćdziesięciu centymetrów. Jak więc ten nowy poziom osiągnąć, jak sprawić, aby okres żeglugi przedłużył się do pełnych dziesięciu — jedenastu miesięcy? Co należy uczynić, aby mogła ona służyć zagospodarowaniu terenów przyległych, nawadniać swoją dolinę, a równocześnie stworzyć trwałe warunki w rozwijaniu sportów wodnych, rekreacji, ośrodków wypoczynkowych, żeglugi pasażerskiej itp.?

Temu celowi służyć będą zbiorniki retencyjne, głównie w dorzeczu górnej Wisły — te już istniejące i te zaprojektowane — wreszcie w części dotyczącej bezpośrednio żeglugi, wspomniane już stopnie wodne na całej długości tej rzeki. Tych przesłód będzie ponad trzydzieści, a cztery przypadną na nasz odcinek. Pierwsze spiętrzenie powstanie jeszcze w rejonie Rybitwu, drugie w Choczycy, następne w okolicy Puław, a ostatnie bardziej na północ, bo aż w Piotrowicach. Każdy taki stopień stanowi osobną i poważną inwestycję. Chodzi tu o rozległą zapórę i jaz, po których prowadzić będzie droga łącząca ludność i gospodarkę obu brzegów. Pełnić więc będzie przy okazji rolę potężnego mostu. Zbudowana zostanie elektrownia wodna oraz śluza — odpowiednie urządzenie umożliwiające przepływ statkom i barkom. W spodziewanych 1600—2000 megawatach elektrowni wiślanych Lubelszczyzna więc będzie miała także swój udział.

Wspomniane stopnie sprawią, że poziom wody podniesie się, będzie ona wypełniać nie tylko główne koryto, ale niekiedy całą przestrzeń od jednego wału przeciwpowodziowego do drugiego. Można już dzisiaj wyobrazić sobie ten malowniczy obraz rozległych zalewów, a jednak niegroźnych dla okolicy. Przeciwnie, pozwalających na stabilizację i intensyfikację rolnictwa w całej dolinie wielkiej rzeki. Po zakończeniu inwestycji towarzyszących w górnym biegu, Wisłę w jej środkowej części malować będzie można także ultramarzyną. Mają nią płynąć wody nawet pierwszej klasy, jak w Wieprzu. Projektanci mówią o hierarchii zadań, jakie są stawiane przed gospodarką wodną: potrzeby ludności, rolnictwa, przemysłu, energetyki i żeglugi — wszystko we współzależności, dla dobra człowieka. Na naszym odcinku powstanie pięć portów rzecznych i dużych przeładowni, spod Puław — wzdłuż Wieprza — ku Zagłębiu Węglowemu zostanie zbudowany kanał (jeżeli to rozwiązanie okaże się korzystniejsze w stosunku do kolejowego), aby można nim przewieźć miliony ton węgla do Kozienic i innych elektrowni ciepłych wzdłuż rzeki oraz do portów morskich na eksport. Jednak i te inwestycje będą podporządkowane prawom naturalnego środowiska. A jeżeli jakiś zakład na Podkarpaciu, na Sanie lub w tej części Wisły będzie miał awarię swoich oczyszczalni? Powstana w przyszłości specjalne systemy, podobnie jak to już jest w naszej energetyce, które pozwolą m. in. nawet na automatyczne unieruchomienie danej fabryki, bez woli jej kierownictwa: nie pozwoli się na dopływ wody, nie będzie więc niepożądanych ścieków.

Niech nikomu nie zabrzmi wszystko, co powyżej napisałem jako utopijne marzenie. Owszem, jest ten program partii równocześnie pięknym, romantycznym marzeniem pokoleń, tyle tylko, że właśnie zbliżającym się do szeroko i mądrze pojętej realizacji. Nie tylko około 500 miliardów złotych, się do tego przyczyni, ale i zapał patriotyzm, w którym zawsze znajdowała swoje miejsce Wisła. To stanie się jeszcze na naszych oczach i z naszym udziałem, nie tylko tych, którzy w tej chwili są młodzi. Tego spełnienia doczekać mogą jeszcze Polacy w zaawansowanym już wieku.

Tadeusz Jasiński

Szkice wykonała Jolanta Józwiak

## Po wodę czystą aż do Karpat

są przez to pomniejszane. Podobnie jest na Roztoczu, na Grzędzie Sokalskiej i Pagórach Chelmskich. W pierwotnych planach miał temu zaradzić olbrzymi zalew, zbiornik wodny w okolicach Kazimierza Dolnego. Jednak zarówno rolnictwu, jak i ludności potrzebna jest woda zdrowa, bez domieszek, których przysparza cywilizacja wzdłuż górnego odcinka, a szczególnie przemysł — wzdłuż śląskiego i krakowskiego. Mimo zapowiedzianej wielkiej inwestycji na całej Wiśle, mimo ważkich postanowień z tą inwestycją związanych; kto zagwarantuje, że wody tej rzeki w naszej części będą już za lat pięć, dziesięć nieskażone? Długość kanałów i ich rozgałęzienia musiałyby być o wiele liczniejsze, a korzyści raczej mniejsze. Więc po tę wodę czystą należy się zwrócić z prośbą do gór, im trzeba ją zabrać, sprawić, aby do Wisły, a nią do Bałtyku, spłynęła jak najpóźniej, aby przedtem popracowała wielokrotnie na obszarze południowej Polski. Dopiero potem projektanci widzą jej miejsce w największej naszej rzece, ale i w niej płynąć będzie musiała pracować, poruszać turbiny elektrowni, służyć wielu urządzeniom, które tam istnieją, bądź są przewidziane.

Moi rozmówcy kierują uwagę reportera na pogranicze trzech województw: chelmskiego, lubelskiego i zamojskiego, na punkt, który będzie miał właśnie wpływ zyciodajny dla tego obszaru, a szczególnie dla dwu pierwszych jednostek administracyjnych. Chodzi o Izbielkę i sąsiadujące z nią miejscowości.

Oto widzę na mapie wielkie jezioro, niebieską plamę. Co ja tu wypisuję: nie plamę, wcale nie plamę, bo z plamą czysta woda przecież nie może się kojarzyć. A więc widzę wielkie, niebieskie oznakowanie, które na razie jest symbolem 100 000 000 metrów sześciennych górskiej, krynicznej wody! Uwaznemu czytelnikowi, który wziął już mapę fizyczną kraju do ręki, nasuwać się jednak musi pytanie: jakże taka masa wód karpackich ma przypłynąć do Izbielki, aby następnie uczestniczyć w regulowaniu poziomu wody w Wieprzu, a potem w kanale Wieprz-Krzna, jak ma zaspokoilić potrzeby Lubelskiego Zagłębia Węglowego, jego elektrowni, jak dać wodę pitną całej aglomeracji lubelskiej z jej stolicą włącznie? Któż nie ma apetytu, aby Wieprz był malowany wyłącznie ultramarzyną, a więc zawierał wodę pierwszej klasy, a dopiero na ostatnich kilometrach drugiej? I jakim cudem ma się to dokonać?

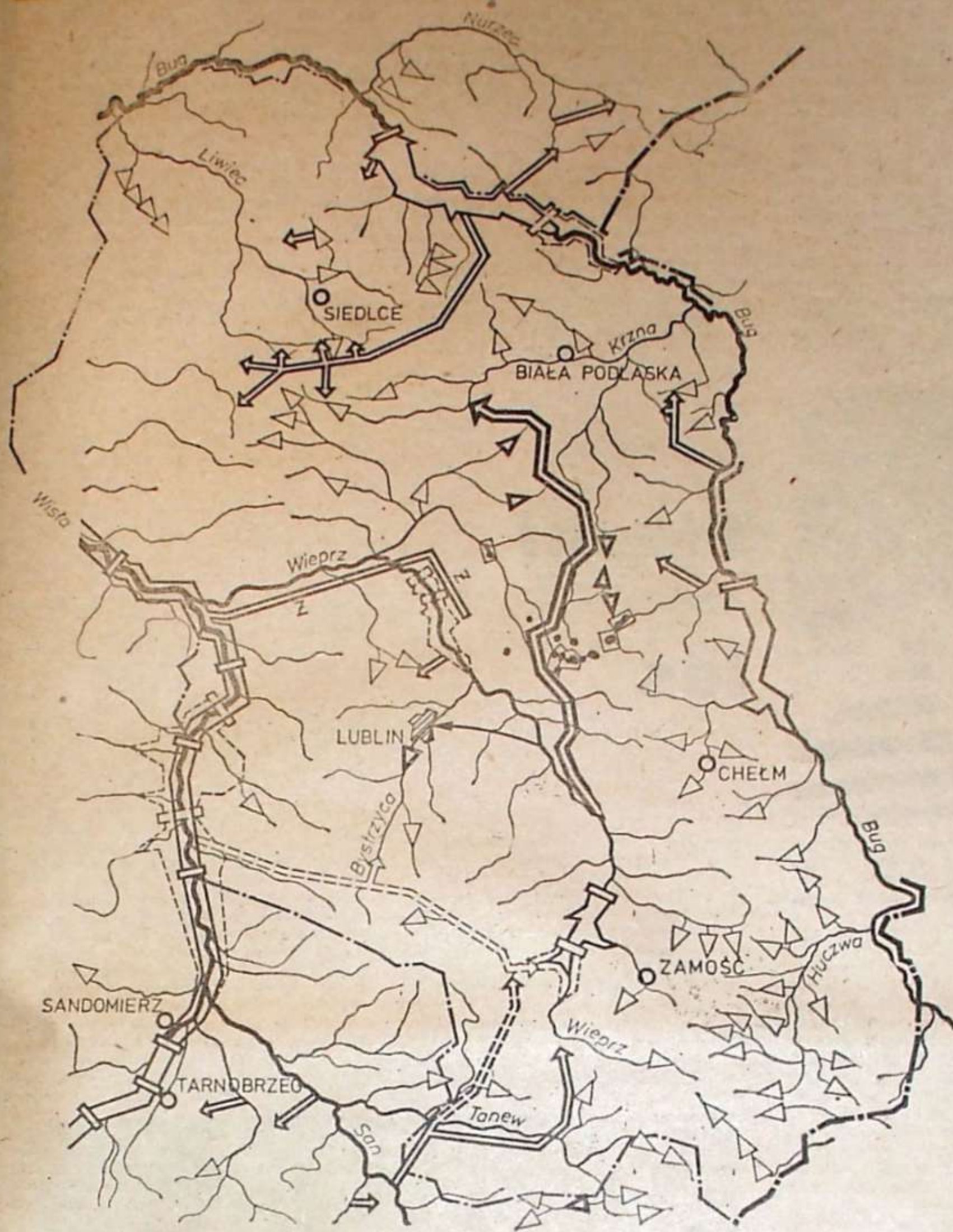
Otóż cudem myśli twórczej uczonych z Polskiej Akademii Nauk, z Instytutu Kształtowania Środowiska, wielu, wielu placówek, które tu trudno wymienić, łącznie z Politechniką Lubelską i innymi jednostkami oraz koordynujące plastyczne poczynania warszawskiego „Hydroprojektu”, wreszcie za sprawą ludzkiego trudu, który pokieruje skomplikowanymi nieraz urządzeniami. Zbiornik w Izbielce magazynować będzie przede wszystkim zasoby wodne górnego Wieprza i jego dopływów. Z czasem będzie ich za mało. Wody dostarczą więc przewidziany kanał Tanew-Izbielka, który zaczyna się gdzieś między Księżopolem a Harasiukami. Potem zabrane zostaną wody Sanowi. Przejmie on je ze swoich dopływów tylko przez kilkadziesiąt kilometrów. Jeszcze przed Stalową Wolą, przed miejscem, gdzie pierw-


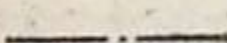



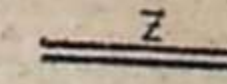


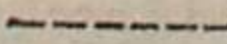
kanal, zapewnią wodę Zagłębiu, Łęcznej i Lublińowi, nade wszystko całej Wyżynie, zintensyfikują rolnictwo, służyć będą nowemu przemysłowi. Po roku osiemdziesiątym odczuwać będziemy wodny deficyt, ratunek przychodzi więc niemal w ostatniej chwili. Nie jeden zresztą zbiornik. Drugi jest zapowiadany od strony granicznej rzeki. Istnieją odpowiednie porozumienia między Polską a Związkiem Radzieckim. Prace badawcze i pomiarowe dokonano w ostatnich latach. Na inwestycji zyska wiele woj. chelmskie, ale także białskopodlaskie, białostockie i łomżyńskie. Oczywiście, i strona radziecka. Każdy z sąsiadów odbierze sobie z kilkusetmilionowego zbiornika pod Włodawą proporcjonalnie do dopływów z dorzecza Bugu po swojej stronie. Po stronie radzieckiej na wody Bugu i jego dopływów oczekują m. in. z podwłodawskiego akwenu obszary zmeliorowanego Polesia.

Jeszcze jedna inwestycja na Bugu będzie miała wpływ na stosunki wodne w naszym makroregionie, a mianowicie zbiornik w Grannem, głównie dla województwa siedleckiego, nadto dla łomżyńskiego, ostrołęckiego i warszawskiego, ale również dla rejonu Łosie. Można więc tyle powiedzieć o programie „Wisła”, a samą rzekę tak długo pomijać. Można więc pisać o konieczności — równocześnie z obu kanałami, tym od Tanwi, i tym od Sanu — budowy wielkiej oczyszczalni ścieków w Zamościu, aby górskie wody nie miały niepożądaną domieszki, a włączyć jeszcze mówić będziemy o tym samym, obliczonym do dwutysięcznego roku, gigantycznym programie, o zamierzeniu, jakiego Polska, jakiego jeszcze żaden kraj europejski w takim rozumieniu nie przedsięwziął.

Edward Gierka cytował na czerwcowym Plenum marzenia Stefana Żeromskiego, uwypuklił nie tylko praktyczną stronę, ale także romantyzm tego niespotykanego zamierzenia. Trzeba było 60 lat od chwili sformułowania myśli wielkiego pisarza, abyśmy byli w stanie ostatecznie realnie je spełnić w następnych 20 latach, przyjmując zadanie na miarę całego pokolenia Polaków. Dokładniej, obszerniej program ten sformułuje najbliższy VIII Zjazd Partii, do tego jednak czasu jakże wiele dokona się już w sferze projektowania, kontynuowania inwestycji, które trwają, a będą integralną częścią dwu trzecich obszarów kraju. W ten system wliczymy przedwojenną zapórę — Porąbce i Rożnowie, ale i te liczone z ostatniego trzydziestolecia, jak na przykład: Tresna, Wisła-Czarne, Jezioro Gozalkowickie, Solina oraz te, co zbudujemy: Czorsztyn i Dóbczyce, a także projektowane w Niewiście i Krasieczynie i wielu innych. Złożyły się na ten program co najmniej dwie generacje uczonych i wykonawców. Najpierw w latach czterdziestych, potem w pięćdziesiątych i wreszcie w końcowych sześćdziesiątych, a najbardziej projekty te i marzenia zaczęły się urealnian w obecnym dziesięcioleciu. Spośród pionierów tej sprawy żyje i działa prof. Aleksander Tuszo, pracując dziesiątki tych, którzy przejęli się ideą poprawienia stosunków wodnych w Polsce, a w związku z Wisłą w szczególności. Główne idee dawnych projektów i kolejnych generacji planów utrzymują się w programie partii, w propozycjach naukowców i praktyków. Wykorzystano także założenia sformułowane w tzw. projekcie „Wisła”, przy udziale ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczo-





-  Granica państwa
-  Granica makroregionu środkowo wschodniego
-  Zbiorniki retencyjne
-  Stopnie piętrzące Kaskady Wisły
-  Przerzuty wody pomiędzy zlewniami
-  Kanał żeglugowy
- Obiekty :
-  istniejące
-  rozpatrywane koncepcje perspektywiczne
-  rozpatrywane w I etapie „Projektu Wisła”  
zaniechane na rzecz rozwiązań korzystniejszych

# Symbol wszystkiego co polskie

**W**ISLA, największa z polskich rzek, była zawsze naturalnym, centralnym ciągiem wodnym, wokół którego skupiały się i jednoczyły ziemie polskie. Wisła była i jest symbolem wszystkiego, co polskie.

Wisła poświęciło najpiękniejsze karty swej twórczości wielu poetów.

Pisali o niej prawie wszyscy od mistrza z Czarnolasu poczynając. Różna jest wartość tych wierszy. Są wśród nich utwory napisane przez poetów mniejszego lotu jak choćby zapomniany wierszyk Karola Kucza:

*Jest kraina, w tej krainie  
Kędy dzielny żyje lud  
Stara Wisła z dawną płynie  
Najpiękniejsza z naszych wód.*

Czasami taki właśnie wierszyk pozostał w pamięci pokoleń, znikło nazwisko poety. Mało kto dziś wie, że autorem tekstu popularnej piosenki zaczynającej się od słów: *Hej! ty Wisło, modro rzeko, pod lasem jest Jan Kanty Gregorowicz*. I mimo że wszystkie podobne tym utwory nie odznaczają się wysokimi walorami artystycznymi, są dziś dla nas szczególnie cenne, bo ich powstaniu towarzyszyło prawdziwe wzruszenie. One to właśnie najpełniej może wyrażały miłość do rzeki, jak choćby wiersz Artura Oppmana:

*Szumi stara Wiselka, a szumi  
O czym marzy i o czym rozmyśla  
Każde dziecko jej głosy rozumie  
Zna je każdy mieszkaniec Powiśla.*

Wiele wierszy poświęconych Wisłom to prawdziwe klejnoty polskiej poezji, jak choćby natchnione strofy Władysława Broniewskiego:

*Piękna jesteś, rzeko Wisło,  
widzę twój dno,  
sprzyjająca moim pomysłom,  
moim snom.  
Jestem księgą  
otwartą w przyszłość.  
Twojego to nurtu potęgą  
Wisło.*

Przeglądając wiersze o Wisłach nie można nie zatrzymać się dłużej nad twórczością Lenartowicza. Do dziś znane są szeroko strofy Lirnika mazowieckiego:

*Po szerokim polu modra Wisła płynie  
Pochylone chaty drzemią na dolinie.  
Na wodzie, na Wisłach, wśród ciszy poranka,  
Płynie łódź flisowska jak szara cyranka  
A za nią ładowane pszenicą galary,  
Szum wiosel na falach i śmiechy i gwary.*

Również Maria Konopnicka pisała o tym *Jak szła Wisła do morza*.

*A ta śliczna Wisła  
Na Śląsku wytrysła  
Przeleciała kawał świata  
Nim tu do nas przyszła.  
Przeleciała Kraków,  
Poszła pod Warszawę  
Rozbiewała swoim szumem  
Każde serce prawe.*

Warto też przypomnieć wiersz Romana Zmorzkiego:

*Patrzaj, to Wisła! Spokojna, marząca  
Między Mazowsza piaski się przewija  
Srebrzystą struną złote brzegi trąca  
I kryształową pieśnią się rozbija.*

Zwracają też uwagę utwory mówiące o Wisłach — rzecze splawnej niosącej do Gdańska na swych falach owoce pracy zamieszkujących nad nią ludzi. Pisał już o tym Jan Kochanowski w jednej z pieśni:

*Łąki kwitną rozmaicie  
Zajęca już nie znać w życie;  
Przy nadziei oracz ścisły,  
Ze będzie miał z czym do Wisły.*

Adam Naruszewicz w *Czterech porach roku*:  
*Wisła okowy zdarłszy warowne,  
Pędzi do morza statki ładowane,  
Czeka gospodarz, by mu za żyto  
Holender złotą brząknął kalitę:*

Kaprysami nieubłaganej Wisły — jak ją nazwał Kochanowski — martwili się i inni poeci staropolscy:

*Śliczna Wisła narma-ka, które swe potoki  
I źródła bystre lejesz w ocean głęboki,  
Nie bądź nam tak przecioną, staw się nam  
życzliwą...*

prosi Andrzej Zbylito-wski.

Natomiast Stefan Żeromski stworzył poetycką wizję zmian, które nastąpią pod koniec XX stulecia.

*Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy  
szkut i komig, bez przerwy, dzień i noc, darmo i  
szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska.  
Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy ple-  
mienia dwie potęgi: bezmiar węgla, dostawiany do  
miast i wsi przez rzekę posłuszną pracującą w cią-  
gu stuleci.*

Rozrosną się do tysięcy fabryk stare grody: Kra-  
ków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk,



zajmuje drugie miejsce w hierarchii rodzinnej: zaraz za mężem i ojcem, a przed żoną i matką. U nas bywa różnie, ale znane są przypadki absolutnego zdominowania domów przez np. dogi, które tylko czekają na oznaki słabości charakteru u ludzi by skoczyć na kierowniczy etat i rządzić w stylu Ludwika XIII. Na koniec przypomnijmy, że psy są poręcznym urządzeniem biologicznym do realizacji ludzkich skłonności sadystycznych. Uderzony kamieniem kundel co najwyżej zawyje, ale na milicję ze skargą nie pocieli, bo nie uczony, pisac i mówić nie potrafi, a poza tym jest jakby zdziwiony uderzeniem przez kogoś, kto pretenduje do miana wielkiego kreatora wartości moralnych w kosmicznej skali. Zdziwiony, albowiem niegramotna sobaka rozumie — nawet poszczególne słowa, nie tylko intonację ludzkiej wypowiedzi przyswaja, lecz jej sens leksykalny. Tak przynajmniej twierdzi Konrad Lorentz, znany już dobrze w Polsce twórca nauki o zachowaniu się zwierząt, który uznaje psa za skomplikowaną osobowość czworonożną inteligencję. Wielu ludzi z branży podziela poglądy wieńdeńczyka.

— Wchodził pies do kliniki, a my już wiemy, na pierwszy rzut oka, czy jest zrównoważony, czy nie, czy można mu spokojnie w pysk zajrzeć. Jeśli objawia nerwowość, prosimy właściciela, aby zszedł z pola jego widzenia, ponieważ opuszczone chwilowo zwierzę, szczególnie małe, traci pewność siebie, poddaje się oglądzinom. Zresztą prawie każdy pies w nowym otoczeniu jest jak sparaliżowany i pozwoli zrobić z sobą niemal wszystko. Czasami przy tym łatwiej uspokoić dogę, niż ratlerkę — powiedział mi kiedyś Wojciech Dygdała, pracownik Instytutu Chorób Niezakaźnych Akademii Rolniczej w Lublinie, konkretnie — Oddziału Małych Zwierząt Kliniki Chorób Wewnętrznych, do którego dobijają się właściciele kundelków, polifaczyków czy oveczarków z Warszawy, Radomia, Łodzi, Przemysła, Stalowej Woli, Krakowa i Łomży, bo to firma renomowana, godna zaufania.

— W tym oddziale trzeba być psychologiem — uzupełnił lekarz weterynarii z tejże Kliniki, Marian Miącz. — Czasami właściciele zwierząt bardziej przeżywiają wizytę u nas, niż włochaci pacjenci, więc przy okazji niejako leczymy i ludzi. Słowem, oczywiście. O powodzeniu w tej pracy decyduje przede wszystkim praktyka lekarza, no i może pewne predyspozycje psychiczne, trochę zrozumienia dla zwierząt.

Wojciech Dygdała wychował się w domu, w którym były: traszki, żaby afrykańskie, specjalne odmiany owadów, zółw i naturalnie pies. A ojcem późniejszego lekarza weterynarii był biolog. Tak i syn poszedł na studia w Akademii Rolniczej w Lublinie, które skończył w 1975 roku.

Natomiast Marian Miącz wychował się na wsi chelmskiej, gdzie jego ojciec posiadał stadło zarodowe owiec, w latach sześćdziesiątych ukończył technikum weterynaryjne, później zaś tę samą uczelnię, co W. Dygdała.

Są to typowe biografie ludzi związanych z weterynarią, tłumaczące nie tylko wybór kierunku studiów i pracy, ale i fakt owego zyciowego nachylenia się do chorych zwierząt. Trudno powiedzieć czy te właśnie czy inne względy decydują o wstąpieniu, jakim cieszą się kliniki lubelskiej Akademii Rolniczej przy ścianach PKWN wśród właścicieli psów z różnych miast kraju. Faktem pozostaje, że rocznie wpływa tam około trzech tysięcy zgłoszeń poważniejszych schorzeń psów: drobniejszych po prostu nie rejestruje się w kartotece ambulatorium. Najwięcej pacjentów pojawia się jesienią, od września do listopada włącznie, najwięcej w miesiącach wakacyjnych — może dlatego, że pewna część właścicieli przed udaniem się na urlop najbrutalniej w świecie wyrzeka dotychczasowych ulubieńców (?) domu na ulicę. Zasiadał omi co roku tabuny na pół zdzieczalych, biednych zwierząt, wędrujących po osiedlach mieszkaniowych Lublina i innych miast, obrzucanych kamieniami, przeganianych z miejsca na miejsce

I z zazdrością obwacujących swych pobratymców w obrozach, którzy jeszcze nie stracili miłości właścicieli. Tak jest zresztą i w innych krajach, to samo obserwuje się latami na przykład w Paryżu.

Niemniej większość ludzi troszczy się o psy, odżywiają je jak należy, tłucze się przez pol Polski, aby tylko oddać chorego „Azora” w dobre ręce lekarzy lubelskiej kliniki oraz Władysława Kołodzieja, starszego technika weterynarii, który pracuje w tej instytucji już 32 lata i przeztrzymał: dwóch profesorów i trzech docentów jako swoich zwierzchników, co jest rekordem o treści optymistycznej.

Na miejscu najpierw człowiek spowiada się lekarzowi a propos psa, potem ten drugi ogląda, omacuje, opuka i osłuchuje trzecią postać sprawy. System „cztery O” jest wstępem do wyciągnięcia pierwszych wniosków, po czym rozpoczynają badania la-



Przed dwoma laty lek. wet. Marian Miącz uratował od śmierci ciężko chorą na zawałenie płuc Dianę. Nawet w niedzielę przychodził zrobić jej zastrzyk

Fot. M. J.

boratoryjne pacjenta i prześwietlenie pewnych jego partii, choćby żołądka, jako że pieski, przede wszystkim młode lubią konsumować co podłeci: przedmioty metalowe, plastikowe oraz majtki i podwiązki. Przy okazji właściciele zwierząt użalają się, że widać nie ma sprawiedliwości na tym świecie, skoro ich zdane pupile chorują z byle powodu, na przykład na wirusowe zapalenie wątroby albo jakieś świństwo alergiczne, podczas gdy bezdomne włóczęgi zdają się tryskać zdrowiem. No cóż, nie wiedzą, że w warunkach takiej totalnej swobody przeżywiają tylko egzemplarze najbardziej odporne, zahartowane

Odwiedzając lubelską klinikę są z reguły zadowoleni z obsługi lekarskiej, mniej — można przypuszczać cieszą ich warunki recepcji. Niewielkie i niefunkcjonalne są bowiem pomieszczenia w budynkach kliniki, wzniesionych na początku lat pięćdziesiątych i przypominających swoim „neorenesansem” austriackie objekty weterynaryjne Klenci i pacjenci czekają w kolejkach uformowanej we fragmencie przystosowanego konwiarza, co lubię irytuje zwierzęta.

— Oddział powinien się rozbudować, lepiej wyoszczędzić w sprzęty, bo w samym Lublinie ciągle przybywa psów i kotów. Proszę sobie wyobrazić, że błyszczący stół służy lekarzom już 30 lat. Nałóżaloby też zadbać o estetykę pomieszczeń Wojewódzkiej lecznicy dla zwierząt w Poznaniu znajdują się pod opieką blastyków — może dlatego że w mieście odbywała się Targi. My także troszczymy się o te sprawy — w zakresie naszych skromnych możliwości — mówi prof. dr hab. Edward Pinkiewicz, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych AR, które na uczelni pracuje od 1 września 1948 roku. Na ścianach jego gabinetu wiszą obrazy i rzeźby wykonane przez lekarzy weterynarii z różnych miast, pod biurkiem regularnie drzemie wielki kot, który doszczętnie wytrzebił myszy i szeszury w klinice.

W ambulatorium lubelskim pojawiają się od pewnego czasu klienci rzadko kiedy spotykani: rolnicy z odległych wsi, którzy miast skazać na rozstrzelanie swoje chore „Burki”, rzek to dawna była, widać je do lekarza. Im biedniejsi ludzie, staną się samotni, im trudniej im nawią-

zać z sobą człowieczy dialog, tym częściej i częściej garną się do zwierząt.

— Ale to, co tutaj robimy — zauważył kiedyś W. Dygdała — można określić jako początek sprawy, początek racjonalnego, rozbudowanego systemu opieki nad małymi zwierzętami, który faktycznie jeszcze nie istnieje. Nie mamy nawet w kraju polskich podręczników na temat leczenia psów czy kotów. Tłumaczony z niemieckiego ukazał się 27 lat temu i siłą rzeczy jest ten „Bachman” przestarzały. Znam podręczniki świece, ale w języku angielskim. Zresztą wierzyć się nie chce, jak tam dbają o psy i koty, dla których produkuje się nawet preparaty profilaktyczne, nie mówiąc o specjalnych konserwach. We Francji szczepi się okręśowo także i koty, podczas gdy u nas nie, co sprawa pewnie kłopoty służbie weterynaryjnej w okresie

## Pieski

## los

epidemi. Nie dorobiliśmy się jeszcze specjalistycznych lecznic dla małych zwierząt, bo ze względów ekonomicznych preferuje się gatunki duże, dające mięso i inne wartości. Natomiast małe lecznice nie posiadają odpowiedniego wyposażenia, leków, a zabiegi wokół małych pacjentów stoją na skandalicznie niskim poziomie. Podatek od psa wynosi 600 zł rocznie i teoretycznie zapewnia psu opiekę sanitarno-we-



Fot. W. Stepień

terynaryjną. W praktyce sprawdza się ona wyłącznie do zaszczepienia zwierzęcia przeciwko wścieklicznie, choć koszt tego zabiegu wynosi faktycznie tylko 50 zł. Tymczasem pracownicy administracji osiedlowych, gdzie oplaca się podatek, informują właścicieli zwierząt, że co prawda 300 zł dać trzeba za sam fakt posiadania doga czy jamnika, ale drugie 300 gwarantuje pleskowi bezpłatne leczenie w wypadku choroby. Powoduje to wiele nieporozumień i konfliktów w praktyce społecznej powstrzymuje ponadto wiele osób przed rejestrowaniem psa, a tym samym przed zaszczepieniem, bo zaświadczenie o pierwszej „transakcji” jest podstawą prawną formalną wykonania tego zabiegu. W lipcu byłem świadkiem odeśnięcia „z kwitkiem” do domu pewnego kilkunastoletniego chłopca, który przyjechał do Lublina ze wsi, aby zaszczepić swojego nerwowego kundelka — lecz nie posiadał owego świadectwa opłaty.

Można sądzić, że w związku z tym przynajmniej lubelskie schronisko dla zwierząt na Węglinie działa w odpowiednich warunkach. Ale to złudne mniemanie! Warunki są fatalne, personel nieliczny, na dodatek nie dysponujący własnym środkiem transportu. Wypożyczony co drugi dzień samochód krąży co prawda po mieście i aresztuje niebezpieczne psy, ale to przecież partyzancka, działanie doraźne i okazjonalne, niewspółmierne do wagi zagadnienia. Szacuje się, że w Lublinie żyje około 5 tysięcy psów, albo i znacznie więcej; statystyki są przestarzałe, a zwierząt ciągle przybywa. A tu budy zamiast schroniska z prawdziwego zdarzenia, czterech ludzi (w tym kierownik) i od czasu do czasu jeden samochód. Niech więc opatrność chroni psa przed potrąceniem przez jakiś pojazd na drodze czy przed innym wypadkiem: ranny będzie długo dogorywał na ulicy, jeśli nie zaopiekują się nim dobrzy ludzie, nieświadomi tego, jaki kłopot biorą na głowę. Bywa bowiem, że taki przypadkowy ratownik godzinami i dniami nie może prosić się pomocy ze strony władzowej instytucji, bo jej personel mimo najlepszych chęci nie jest w stanie podjąć zadania, które rosną z roku na rok (W całym zresztą kraju schroniska dla zwierząt działają z reguły w warunkach skandalicznych, urągających np. higienie). Wiemy o tym dobrze z prasy codziennej także z radia, że w niejednym przypadku właśnie pracownicy kliniki AR śpieszą z pomocą, choć nie są powołani do tego rodzaju świadczeń terenowych

Do nich też zgłaszają się osoby pokasane przez niebezpieczne psy — znów myląc adres. Owszem, klinika przyjmie na obserwację psa podejrzanego ewentualnie o wściekliczność, ale delikwent musiłożyć na jego utrzymanie, co także nie rozwiązuje sprawy, bo w obiektach przy alejach PKWN nie ma właściwie ludzi do opieki nad tego rodzaju pacjentami. Zatem klient musi we własnym zakresie troszczyć się o pożywienie dla czworonoga, karmić go osobiście i wyprowadzać na spacer przez 10 dni! To wszystko wymaga jednak czasu i pieniędzy. Natomiast na Węglinie może oddać podejrzanego, jeśli uda mu się własnoręcznie go złapać i pójść do domu, nie dokładając do interesu ani złotówki. Ale obywateli

o tym nie wiedzą, a poza tym co klinika akademicka, to klinika.

Krótko mówiąc: Oddział Małych Zwierząt AR bardzo sprawnie zajmuje się profilaktyką i leczeniem psów (i kotów) działając jakby w pojedynkę. Nie istnieje bowiem proporcjonalnie rozbudowane inne ognisko, które wraz z instytucją naukową, świadczy też swoje usługi dla ludności, mogłyby tworzyć spójny system opieki nad tymi zwierzętami. Tymczasem psów przybywa, co może kiedyś doprowadzić do dramatycznej sytuacji, która już w obecnym kształcie budzi niepokój, jeśli spojrzymy na nią od strony etycznej

Czyżby nie było wśród nas ludzi pokroju Wojciecha Dygdala, autentycznego i rozumnego przyjaciela zwierząt, który — o czym przypominam z prawdziwym smutkiem — zmarł tragicznie, w samotności, cziery miesiąc temu.

Arkadiusz Kossowski



# BOHATEROWIE ADRIATYKU <sup>(3)</sup>

Stanisław Majewski

## BITWY O WYSPĘ KORČUŁA

**U**TRZYMANIE wysp przybrzeżnych w rękach partyzanckich miało znaczenie ogromnej wagi; na wyspach można było magazynować broń, amunicję i żywność, a także dokonywać z nich niespodziewanych i skutecznych wypadów bojowych oraz przeprowadzać operacje desantowe. Wróg zdawał sobie z tego sprawę.

W końcu grudnia 1943 roku hitlerowcy przeprowadzili błyskawiczną, zakończoną pełnym sukcesem operację desantową na wyspę Korčula, mającą strategiczne znaczenie w archipelagu wysp dalmackich. Jednostki broniące Korčuli składały się w większości z młodych i mało doświadczonych bojowników, którzy wstąpili w szeregi NWAJ po kapitulacji Włoch. Większe doświadczenie miały jedynie oddziały 13 brygady, które wcześniej już toczyły walki na Pelješacu, ale one właśnie tego ranka, kiedy Niemcy lądowali na Korčuli, opuszczały swoje pozycje na północnym brzegu wyspy i koncentrowały się we wschodniej części, by desantować na półwysep Pelješac, zdobyty przez Niemców kilka tygodni wcześniej.

Vladimir Dedijer, w latach wojny osobisty sekretarz i adiutant Josipa Broz Tity, z którym autor niniejszej pracy zawarł przyjaźń w latach powojennych i uzyskał od niego egzemplarz słynnego „Dziennika” zawierającego uwagi notowane na gorąco w toku działań wojennych, tak opisał bitwę o Korčulę na stronach „Dziennika”:

Z naszej strony czynione były przygotowania do odbicia z rąk Niemców półwyspu Pelješac. Zamierzaliśmy zdobyć Pelješac atakiem z Korčuli; tymczasem Niemcy przygotowali desant z Pelješaca na Korčulę. Należy przypuszczać, że lepiej pracowała ich służba wywiadowcza i dlatego uprzedzili nas kontratakami.

W momencie, gdy jednostki 1 Brygady Morskiej podmieniały oddziały mające desantować na Pelješac, Niemcy siłą 20 okrętów wojennych, po silnym przygotowaniu artyleryjskim i bombardowaniu z powietrza desantowali na Korčulę, lądując w trzech punktach. Tym samym przecięli styki naszych batalionów.

Słaba łączność między Korčulą a wyspą Hvar, opartą przez wojska partyzanckie, jak również powolność naszego transportu morskiego, sprawiły, że „pilki dla Korčuli” nadeszły z trzydziestogodzinnym opóźnieniem. Dwa bataliony 1 Brygady Dalmackiej zdobyły jedynie w pewnym stopniu ostatecznie siłę natarcia Niemców, dzięki temu można było statkami partyzanckiej floty ewakuować część rannych i osób cywilnych.

Losy bitwy o Korčulę były jednak przesądzone. W sumie straty partyzanckie na Korčuli wyniosły: 532 żołnierzy w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. W sprzeczce: 10 dział, 25 ciężkich i 35 lekkich karabinów maszynowych, 6 miotaczy min i 1500 karabinów oraz 1000 pocisków.

Sojusznicze lotnictwo, ani marynarka nie okazały nam podczas walk o Korčulę najmniejszej pomocy.

Straty Niemców w bitwie o Korčulę nie zostały dokładnie ustalone, ale na pewno zdobycie wyspy nie przyszło im łatwo. W toku bezpośrednich przygotowań oraz desantowania, Niemcy stracili 8 okrętów, z których 6 zatopiono: lekki krążownik „Niobe”, „SF-193”, „Pasman”, dwa okręty desantowe i jeden żaglowiec motorowy. 2 okręty wzięte zostały do niewoli — „HZ-8” i „HZ-9”, które później pływały pod banderą partyzancką jako „NB-1” i „NB-2”, w tym samym czasie uszkodzono też 3 kutry torpedowe i 1 okręt desantowy.

22 marca 1944 r. wojska partyzanckie rozbiły garnizon hitlerowski na wyspie Hvar i używały tam własny, silny punkt oporu. Desant partyzancki na Hvar był zarazem ostatnim „ukłuciem” nieprzyjaciela przed majacymi dopiero nastąpić wielkimi operacjami NWAJ przeciwko bazom niemieckim na wyspach środkowej i południowej Dalmacji.

O przygotowywanej ofensywie oddziałów NWAJ z wyspy Vis Niemcy zdolali uzyskać pewne informacje. W połowie kwietnia zaczęły do „nich” napływać meldunki zawierające dane o sojusznicznych planach inwazyjnych na obszar wysp Dalmackich, a zwłaszcza o mającym nastąpić desancie na wyspy Mijet i Solta. Sztab hitlerowski 2 armii pancernej zażądał od Admirała Adriatyku przygotowania okrętów dla szybkiego przetrzymania posiłków z lądu na wyspy. W tym samym czasie sztab 2 armii pancernej poprosił Luftwaffenkommando Südost, by skoncentrowanymi atakami lotnictwa przeszkodzić w przygotowaniach czynionych na wyspie Vis, niszczyć przede wszystkim jednostki pływające.

Korčulę broniły dwa niepełne bataliony niemieckie, wydzielone z 750 pułku, 118 dywizji myśliwskiej, wzmocnione artylerią pułkową i dywizyjną. Siły te rozlokowane były na wzmocnionych stanowiskach wokół miejscowości: Vela Luka, Blato, Smokvica, Pupnata, Korčula i Lumbard. Wzmocniona kompania 750 pułku, która znajdowała się na wyspie Mijet, zajęła stanowiska w środkowej części wypy na dominujących wzniesieniach.

22 kwietnia o świcie artyleria partyzancka rozpoczęła przygotowanie. Ogień skoncentrowany



Josip Broz Tito (drugi z lewej) inspekcjonuje jednostkę floty partyzanckiej w porcie Vis

Fot. Archiwum

został na pozycje niemieckie pod Blatem. Jeden z pierwszych pocisków trafił w schron, zabijając 30 Niemców. Vela Luka atakowała północna grupa desantowa — 1 batalion 12 brygady NWAJ. Po krótkim przygotowaniu moździerzy, brawurowym atakiem partyzanckim nieprzyjaciel został wyparty z pozycji na przedpolach miasta, po czym usiłował się bronić jeszcze w budynkach. Ostatni punkt oporu Niemców w Vela Luka, wzniesienie Huma, zdobyto o godzinie 15.00. Do wyzwolonego portu mogły wejść okręty partyzanckie.

Walki pod Blatem zakończyły się 23 kwietnia. Broniące się pozycje niemieckie poddane zostały wielogodzinnemu bombardowaniu artyleryjskiemu z dział, haubic i moździerzy zdobytych poprzedniego dnia. O godzinie 13.30 oddziały partyzanckiej piechoty morskiej ruszyły do kolejnego szturmu i po dwa i pół godzinach zaciętych walk zdołały całkowicie złamać opór przeciwnika. Niezwłocznie po zdobyciu Blata oddziały południowej grupy desantowej ruszyły w kierunku Smokvicy i następnego dnia, w godzinach popołudniowych, toczyły ciężkie zmagania z siłami niemieckimi, które w toku walk otrzymały posiłki. Niemcy, ponosząc duże straty, musieli wkrótce wycofać się z zajmowanych pozycji.

O godzinie 20.00, zgodnie z założeniami, nastąpiło pełne wycofanie się oddziałów partyzanckich z wyspy. W nocy z 24 na 25 kwietnia cały materiał, jeńców i oddziały desantowe zaokrętowano na jednostki floty partyzanckiej, które odplynęły na Vis, nie ścigane przez nieprzyjaciela. Jedynie samoloty niemieckie, zatopily rannem 25 kwietnia w porcie Vela Luka dwa żaglowce motorowe — „Mir s vami” i „Sloboda”. Tego rana, po dwudniowym odpoczynku na wyspie Lastovo, ścignięto również na Vis oddziały, które desantowały na wyspę Mijet, niszcząc tamtejszy garnizon hitlerowski.

O dalszym rozwoju sytuacji na Korčuli, po utracie Blata, 24 kwietnia dowodzący niemieckimi siłami morskimi na Adriatyku, otrzymał meldunki o następującej treści:

Godzina 20.00 — sytuacja na Korčuli. Punkt obrony Smokvica atakowany jest przez przeważające siły przeciwnika. Wysokie straty własne wskutek gęstego ognia moździerzy.

Godzina 24.00 — dowódca marynarki Dalmacji południowej melduje, że sytuacja na Korčuli pogarsza się. Dywizja musi przetransportować dalsze oddziały wojska, a pozostający do jej dyspozycji labor pływający jest niedostateczny. Dywizja domaga się co najmniej 2 barek desantowych, zdolnych przeciwieć czołgi, ponadto 4 kutry desantowe.

Poważniejsze posiłki dla Korčuli Niemcy zdolni byli skierować dopiero nocą 26 kwietnia kiedy oddziały partyzanckie, biorące udział w wypadzie desantowym na wyspę, w większości znajdowały się już na Visie.

W trzy dni później niemiecki komendant portu w Korčuli przesłał meldunek do Admiralicji Adriatyku, w którym wylicza straty własne: 458 zabitych i rannych (liczba ta nie była pełna, gdyż ponad 500 Niemców z garnizonu korčułańskiego znalazło się w niewoli na Visie), 4 haubice 75 mm, 4 działa przeciwpancerne, 10 ciężkich karabinów maszynowych, 34 lekkie karabiny maszynowe, 5 ciężkich i 5 lekkich moździerzy, 510 karabinów, 115 rewolwerów, 12 radiostacji, 5 samochodów ciężarowych, 3 motocykle, 15 rowerów, warsztat polowy z wyposażeniem, kilka magazynów żywności, kilkanaście wagonów pocisków artyleryjskich i kul karabinowych, 1 okręt, archiwa i cały sprzęt wojenny. Na sąsiedniej wyspie Mijet padło około 100 żołnierzy hitlerowskich, a 66 wzięto do niewoli.

Straty oddziałów desantowych NWAJ wynosiły na Korčuli 48 zabitych i 184 rannych. O zaciętości

walk świadczy ilość wystrzelonej amunicji: 2400 pocisków z ciężkich i 700 lekkich moździerzy, 450 pocisków artyleryjskich, 1400 granatów ręcznych i około 150.000 kul karabinowych.

Desant partyzancki na wyspy Mijet i Korčulę spotkał się z wysokim uznaniem Josipa Broz Tity oraz dowódcy sił sojuszniczych na Bliskim Wschodzie, gen. Mc Wilsona. Josip Broz Tito, oceniając ofiarność oddziałów partyzanckich, uczestniczących w desancie na Korčulę i Mijet, przesłał osobiste podziękowanie żołnierzom i oficerom uczestniczącym w tych operacjach:

Żołnierzom, oficerom, dowódcem jednostek Marynarki Wojennej i komisarzom politycznym 26 dywizji i Marynarki Wojennej, którzy wyróżnili się w walce o wyspy Korčulę i Mijet, wyrażam podziękowanie i pochwałę za ich postawę bojową i męstwo okazane w oboju, przeciwko złoczyńcom faszystowskim, którzy wyrządzili naszemu ludowi tyle krzywd. Rozstawiliście bohaterstwo naszego ludu na cały świat.

Sława bohaterom, którzy oddali życie za wolność narodu!

General Mc Wilson depešował do Josipa Broz Tity:

Wysoko cenię waleczność waszych wojsk przy zdobyciu Korčuli i Mijeta. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli przekaże Pan oficerom i żołnierzom moje wyrazy wysokiego uznania dla ich sukcesu w walce o te wyspy.

Dowódca sił sojuszniczych, stacjonujących na wyspie Vis, brigade commander Simonds, poczytał sobie za zaszczyt wystosowanie specjalnego listu na adres dowódcy 26 dywizji dalmackiej, w którym pisał:

Pragnę wyrazić szczerą podziw dla bojowego ducha i waleczności, okazanych przez żołnierzy sił partyzanckich wszystkich rang, podczas ostatniej operacji. Nieprzyjacielowi zadano dotkliwy cios i wielkie straty. (...) Pragnę zarazem wyrazić podziw dla heroicznej walki, którą toczą wojska narodowo-wyzwoleńcze Jugosławii, pod wodzą marszałka Tito, przeciwko wspólnemu wrogowi, Niemcom.

Pośrednie uznanie dla waleczności i oddziałów partyzanckich wyraził również nieprzyjaciel w swoich uwagach operacyjnych o desancie partyzanckim na Korčulę. Admirał Joachim Lietzmann, reasumując wydarzenia, zapisał w swoim dzienniku wojennym:

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że wyspa Vis była punktem wyjściowym tego, w wielkim stylu przeprowadzonego desantu i, że ataki takie będą się powtarzały.

Partyzanci, którzy wyruszyli z wyspy Vis dla rozprawienia się z hitlerowcami okupującymi Korčulę i Mijet, walczyli wprost desperacko. Był naczelnik sztabu 26 dywizji, Ante Biočić, wspominał w rozmowie z autorem niniejszej pracy, że przed zaokrętowaniem grup desantowych, tak przemówił do żołnierzy:

— Kurwiarze, lenie, łehórze! Wylegują się na Visie, żrą tutaj biały chleb, popijają wino, macają dziwkil...

— Po tych słowach — opowiadał Ante Biočić — uczyniłem dłuższą pauzę, chcąc przyjrzeć się twarzom zaskoczonych, przerażonych i wstrząśniętych towarzyszy. Kiedy pomrukiem zaczęli wyrażać oburzenie, szybko dodałem:

— Tak mówią o was, tam, na lądzie. Ale ja przecież wiem, jaka jest prawda. Przekonany jestem, że zechcecie pokazać, jak potraficie walczyć i bić wroga!

I pokazali.



## Listy do Gerwazego

**M**OJ drogi, co byś powiedział o środowisku, w którym dyskwalifikuje się twór muzyki przez to, że nie ma z niego pożytku dla nauki solfeżu? Literacki, że nie zawiera zdań typu „Ala ma kota” jakże przydatnych młusińskim zdobywającym tajemnicę alfabetu? Zauważ co mówię: muzykom nie zarzuca się nieumiejętności stosowania kontrapunktu ani literatowi — skłonności do metaforycznej przesady. Taki zarzut mógłbym uznać za mylny, ale rzeczowo. Sklaniamy do dyskusji do konfrontacji, do niezgody nawet, ale w końcu konstruktywnej. Konstruktywnej przez to, że każda ze stron byłaby zmuszona do użycia swoich najlepszych argumentów, z czego jakas autodidaktyka, a także i dydaktyka mogłaby wyniknąć.

Natomiast kiedy się dana rzecz ocenia nie w kategoriach jej samej, ale w kategoriach dostępnych ocenianemu, a te są zaczerpnięte z innej dziedziny? Na przykład co byś powiedział o jubilerze, który przyniesiony złoty pierścionek kładzie na wagę dziesiętnej i stwierdza: „ani drgnęła”? Powiedziałbyś, że ten jubiler większą przydatność wykazywał jako kierownik zbiornicy złomu. Oczywiście miałbyś rację i ja ją w zupełności podzielam traktując z zresztą jako sposobność do pobłażliwego uśmiechu, skoro ten stosunek do kruszców uważa się za element kulturotwórczy. W ogóle wiele czynni-

ków w tym środowisku należy przyjmować z humorem, mimo że pretendują do tworzenia wartości na serio.

Pretendują? Nie, uważają, że tę rolę już spełniają. Ale są tak przekonane o słuszności swego stanowiska, że nawet nie troszczą się o to, by rola była spełniona rzeczywiście. Wystarczy im zadowolenie z samych siebie i jeśli to zadowolenie jest (a jako oderwane od realii — jest zawsze), uważają to za wkład w rozwój, w dorobek, w przyrost. Po co im sprawdzanie przez fakty? Wystarczy introspekcja. Jeżeli przynosi aprobatę ich samych dla nich samych, sprawa jest skończona.

Kamufażu temu postępowaniu dodaje fakt, że poruszając się w obrębie spraw kulturowych, artystycznych, literackich znajdujemy się na terenie zjawisk dość niewymiernych, tak więc drewniane ucho ma tu dodatkowe wsparcie. Przyznam, że również i tradycję. Na przykład król Midas rozstrzygnął spór między Apollinem a Marsjaszem na korzyść tego drugiego, który był półkoniem. Wprawdzie rozsierdzony werdyktem bóg zachował się niezupełnie po olimpijsku, ponieważ zemścił się na jednym i na drugim, ale nie aprobując samego aktu rozumienia jego pobudki psychologiczne. Można dostać szału kiedy ignorancja arbitra w sprawach artystycznych (arbitra zresztą ustanowionego prawem kaduka) posługuje się pomocą ze strony faktu, że owe sprawy są niewymierne. Owszem, zdarza się mieć swój własny sąd przeciwny ustalonomu, nawet najnoblizszemu mniemaniu (ja na przykład nie widzę powodu, by zachwycać się Tomaszem Mannem, który poza paru uroczystymi komunalami niczego nie powiedział, ale niechże i w tej negacji błysnie jakaś inteligencja. Bo ostatecznie nie wszystko niewymierne jest niewymierne. Jeśli ktoś czas

biegnącego na 100 m odmierza ręcznym zegarkiem, jesteśmy zdementowani co do wyniku pomiaru, ale ostatecznie nie jest niemożliwością udowodnić, że ręczny zegarek nie jest stoperem.

Istnieją decernenci ruchu wydawniczego, którzy preferują utwór określany „iedys” mianem „czytadła”. Mój drogi, zaręczam Ci, że nie wkładam w to określenie znaczenia pejoratywnego. O ile nie potrafię czytać w wagonie, bo trzęsie, a współpasażerowie dodatkowo utrudniają, o tyle pół godziny przed snem już z głową na poduszce muszę poświęcić książki. Zresztą dawnego czytelnika Karola Maya nie posadza o lekceważenie literatury popularnej. Ale w końcu jakieś prawidłowości istnieć chyba powinny. Jeżeli literaturze tzw. wysublimowanej nie wolno anektować terenów zaszczytanych dla tzw. „czytadła” (powtarzam: nie ma w tym drwiny), to chyba i vice versa: ona sama nie powinna być zepchnięta przez produkcję od arkusza, na ilość nakładu. Nie mówię, że należy ją rektyfikować aż do wypędzenia z niej życiowych treści, ale jeśli tego typu pisarstwa nie uznajemy, to znaczy, że niepotrzebnie istniał Giraudoux, Mauriac, niepotrzebnie Nałkowska, Schulz.

Mówię o tym „czytadle”. Czy myślę się? Czy pisze się dziś ambitniej? Nie zanadto. Bo coż mi z tego, że ewentualnie „wykorzystuje się” jakieś osiągnięcia antypowieści, czy (również przereklamowane) powieści ibero-amerykańskiej. Wykorzystuje się, ale pod kątem sensacji, łatwej dynamiki, atrakcyjności obliczonej na niezbyt wymagający gust czytelnika (w czym celu? tak, tak, Roman Bratny), czyli „założenie twórcze” dalej to samo. A jeśli do pogoni za literacką sensacją dochodzi literacka wykształcona współcześnie pretensjonalność, to wołaj już „czytadło” w wydaniu pospoli-

tym, tym dawniejszym. Wołaj Edigej’a i Alexa. Powieść kryminalna jest jak dowcip, nie potrzeba jej komentować, sama musi być dobra.

Ala ja tu gadu — gadu o autorach, podczas gdy bardziej mi chodzi o recenzentów. Otóż co byś powiedział, gdyby gdzieś pojawiło się — toutes proportions gardées — „W poszukiwaniu straconego czasu” i zostało wrzucone do kosza przez „krytyków i recenzentów... niewarszawskich”. (Inna rzecz, że taki wypadek zdarzył się rzeczywiście. W poszukiwaniu straconego czasu” Marceja Prousta zostało wrzucone do kosza przez André Gide’a jako redaktor „Nouvelle Revue Française”. Tęcza o ile przytacza się te „tolerancja” dla redaktorów którzy mają w berbie tak samo nomyłkę, o tyle — z mniejszą dla autorów bo w końcu tekst przeleżał się w koszu. W końcu tekst zależy od sposobu podania. Tu zasługuję Ci kawal który używałem kiedyś od Jerzego Putramenta na jego spotkaniu autorskim Otóż odbywa się wyścig kolarski między generałem Franco, a prezydentem Salazarem. Wygrywa Franco. Jak informuje o tym prasa portugalska? Informuje tak: „Między głowami państw odbył się wyścig kolarski. Profesor Salazar zajął zaszczytne drugie miejsce, a generał Franco przyszedł przedostatni”).

W nawiasie celowo dorzuciłem trochę humoru może nawet nie całkiem à propos, byś nie sądził, że jestem przygnębiony. Kto jak kto ale my dwaj zdążyliśmy się już nauczyć patrzenia na ten świat, na „ludzką, arcyłudzką” niekompetencję przez okulary optymistycznego sceptyka. To tylko niezupełnie dorosli nie są w stanie uwzględnić tej prawdy, że oceniając innych oceniamy również samych siebie. Często wyłączenie siebie.

Twój Protazy

## WOLNA TRYBUNA

# Koniec zмовy obecnych

**„P**OEZJA” w 5 numerze zamieściła parę pamfletów. Na kogo? Na Symborską, na Białoszewskiego, na Rymkiewicza (J. M.), na Kuśniewicza, na Harasymowicza, na Kozioł. Czy na Gąsiorowskiego też? Nie wiem. Na podstawie lektury 9 stron nonparelu nie mogę się zorientować Gąsiorowski jest zastępcą naczelnego redaktora.

Henryk Pająk w „Kamencie” z dnia 9 VII 78 r., a Piotr Szewc z dnia 6 VIII 78 r. zaoponowali przeciw temu przedsięwzięciu „Poezji”. Co do mnie, brakuje mi tam pamfletu na Nowaka, na Sliwonika, na Urgacza, na Jerzyńkę, na Różewicza, na Ożoga na Swirszczyńskiego, na Zadura, na... Brak miejsca nie pozwala mi wyliczać dalej. Nie wykluczone, że pojawi się wkrótce poeta o nazwisku Krupechalowski. Tego bym też wymieniał. Wiadomo z góry, że będzie pisał, tak jak się pisze w Polsce od dwudziestu lat. Więc wniesie tylko nowe nazwisko.

Czyli inicjatywę „Poezji” powitałem z zatarciem rak. Nareszcie w tym państwie duńskim coś się psuje. Nareszcie.

Jaki ty będziesz i co ze mnie to tobie.

W ogóle co w tobie zostanie po szakach?

Zostało nazwane frazeologiczną futurologią, a nie jeszcze jednym osiągnięciem wybitnej poezji. Wprawdzie A. K. Waśkiewicz informuje, że „Poezja” to twierdza oblężona przez „środowisko”, czyli że pewien antagonizm i tu istnieje, ale cóż mnie to obchodzi jako czytelnika.

Wewnątrz klanów również istnieją antagonizmy. Ci z zewnątrz nawet do antagonizmów nie są dopuszczalni.

Niezależnie więc od tego, że poszczególne oceny zawarte w 5 numerze „Poezji” mogą się komuś wydać przesadne (ja np upomniałbym się o Symborską, ale tę z okresu późniejszego), sam fakt przerwania „zмовы obecnych” powitać należy z aplauzem. Pierwszy to od niepamiętnego czasu. Może i jakiś załazek nowego traktowania spraw poezji, bardziej na serio, mniej w konwencji nienaruszenia ustalonych proporcji. Chyba, że pamflet „Poezji” potraktować należy jako coś w rodzaju żartu, czy chwyt redakcyjny mający na celu wywołanie tzw. huczku. Ja upierałbym się przy słownikowym znaczeniu wyrazu „pamflet”.

Minęły utopijne czasy, kiedy w Polsce mówiło się o grupach poetyckich. Nawet Artur Sandauer grupom proponował powierzyć redakcje pism literackich, co jest zresztą o tyle niekonsekwentne, że to, co powinno być zdobyte w rezultacie walki artystycznej, miało zostać przydzielone drogą administracyjną (ile się np. Skamander nastartował do swego „Skamandra” — poprzez „Pikadora”, „Pro arte et studio”, „Pro arte” itd. — sam wdzierając się na Parnas i na rynek czytelniczy). A organizacja życia literackiego na podstawie grup stała się nieaktualna przez to, że owe grupy jeśli nawet pozostawały, to artystycznie niczym się między sobą nie różniły. Bo tylko miejscem zamieszkania swoich członków, ewentualnie ich pozaliteracką profesją. Czym się na dobrą sprawę różnił jakiś tam „Wierzbak” od jakichś tam „Orientacji”, czym

„Orientacje” od jakichś tam „Kontrastów”? Obowiązywał jeden wzorzec, który się raz nazywał „rezygnacją z taniach pięknościami”, raz „zasadą słowa rozkojarzonego”, raz „poezją lingwistyczną”. A wszystko przez to, że model postawangardowy jest znacznie łatwiejszy od nawet asnykowskiemu, a jeżeli ktoś się nie chce zgodzić, że łatwiejszy, to powiem, że sposobniejszy jako zasłona dla nijakich treści. W modelu klasycystycznym co jest grafomanią jest grafomanią, w modelu postawangardowym, czy różewiczowskim — śmiałością przesunięcia wyrazu poetyckiego aż do granic prozy.

Więc powstanie nie grup artystycznych, ale środowiskowych powiązań personalnych jest prawidłowością. Prawidłowością przez to, że nie dochodzi do opozycji pojęć, kryteriów, praktyk pisarskich, lecz do opozycji interesów. Co w tych warunkach? Łączyć się pokoleniowo, rekrutowo, redakcyjnie. „Kupą mości panowie” — to zawsze zwiększa szansę powodzenia, o czym wiemy już od pana Zagłoby herbu Wczele. „Pokolenia startujące lawą” — to powiedzenie mam od Arnolda Sluckiego, kiedy tenże nie mając lepszego interlokutora w kawiarni Związku Literatów w Warszawie zaczął do mnie grzmieć na aktualną generację pisarską.

Oczywiście — nie wszyscy są zmuszeni do udziału w trustach. Są tak przemożni outsiderzy, że mogą sobie pozwolić na pozycję z boku (która rychło się staje pozycją w centrum). Z tym, że również nie sami do niej doszli. Powtarzam się, ale dodam, że spontaniczny odruch zdziwienia wespół ze skłonnością do melancholijnego uśmiechu wywołuje we mnie wiadomość o tym, że Przybóś lansował Drozdowskiego, Sandauer Białoszewskiego, Jastrun Harasymowicza, a Błóński Herberta. Lansował jeszcze Fleszen Czycza, ale o rezultatach tej literackiej protekcji dziś już niewiele słychać. (A propos: Przybóś Drozdowskiego? To chyba po to, by się jako mecenas upamiętnić, bo rodzaje poetyk u obu są całkowicie różne). Ba! Bez żenady sami protektorzy o tym mówią! Oni, którzy powinni — na odwrót — stać na straży czystości obyczajów literackich jako odpowiednich dla ludzi, którzy podjęli się „wymierzać sprawiedliwość widzianemu światu”. Jakże. Zadanie aż tak szczytne, a obroty między ludźmi tak tuzinkowe? Protegowało się kiedyś niedozwolony maturzystą na młodszego kancliszę. Osobliwie, że proteguje się kogoś na poetę. Jeśli taka potrzeba,

zachodzi, że to świadczy o biegu spraw w obrębie życia literackiego, w czym sami protegujący biorą udział. Więc sami sobie wydają że świadectwo?

Co jeszcze deformuje obraz wartości na rynku literackim? Fakt, że ktoś, kto kiedyś mógł się wylegitymować jakimś (często umownym) osiągnięciem, na stałe „wchodzi do planu” i żadna siła nie jest w stanie zakwestionować tej pozycji? By znaleźć się w konwencji pamfletu, ale pamfletu na serio; nie wiem jak: wartości mam łączyć z nijakością Różewicza, drętwością — Nowaka, niedorzecznością — Białoszewskiego. Ale trzeba dopiero zrywu (czy może tylko wyskoku?) znudzonej stabilizacji (czy może tylko zrażonej do własnych partnerów?) „Poezji” by raz na trzydzieści lat zauważać, że król jest nagi. Dotychczas, owszem, mówiono się o nagości króla, ale anonimowego. Wyśmiewano nikogo, dzięki czemu tyłu gołców widziało się w gronostajach.

To nawet nie giełda. Bo na giełdzie, kiedy spada wydobycie w kopalni akcje kopalni spadają. Tu ustalonych notowań nie jest w stanie naruszyć. Jaki to wiersz? Zaraz, zaraz, sięgnijmy do okładki Różewicza! No to wiersz jest doskonały. Osobliwy okres literatury polskiej: nie można się zepsuć. Jeszcze nigdy manometr wartości literackich nie zaciął się tak kategorycznie. Dostawał się nawet Kasprzowiczowi, Tuwimowi, Słonimskiemu, dziś słówka krytycznego nie waży się pisać o Harasymowiczu, bo to Gałczyński, jak swego czasu euforycznie obwieścił przecież nie zewoaty krytyk Jerzy Kwiatkowski. Z tym, że samemu Gałczyńskiemu dostawało się choć niesłusznie, to tego. Co jest? Co za sanktuarium owiewa się kadzidłałym dymem? Z płaskich zachwyłów, uników, z eufemizmów chce się wytworzyć klimat wyskoków literackich wymagań? W dodatku jakże o owe eufemizmy łatwo. Parę terminologicznych grzechotek i już uznanie dla inteligencji krytyka, który jakże wnikiwie — itd.

Powiedzieć młodemu poetom: „bądźcie inni”, odpowiedzą: „dajcie nam inną rzeczywistość”. Słusznie, ale rzeczywistość składa się również z tego, co młodzi poeci w nią wnoszą. Więc gdyby na zasadzie samego odruchu, samego grymasu, samego wreszcie zachęcenia się zechcieli wprowadzić treści inne, miałyby one rację bytu. Tylko i zachęcać się trzeba z przekonaniem. Natomiast jeśli



Stanisław Gola

## SWOIMI SŁOWAMI

Lechowi Sępniewskiemu

Synku —  
to miasto za ciasne  
na twoje dziewiętnaście lat.

Jak go edeta mierzysz wraz  
ze mną  
wieczór zimne powietrze  
czas

domy na nowych tyłkach siadły  
przy elektrociepłowni grzeją się  
ich sprawa

Synku —  
szczęście ma tyle wymiarów  
ile gwiazd

może to nieprawda  
ale jakże trafne spostrzeżenie  
w taki mróz

wszyscy chorzy na poezję  
dawno już w łózkach  
ciasne miasto śpi zapięte po  
szyję

tylko ty — Synku  
mocujesz się jak z guzikiem  
z własnym sercem.

„startują ława”, co oznacza nie tylko wspólne obleganie redakcji, ale przyjęcie gładzszaltującego uniformu obowiązującej powszechnie poetyki, nie zdobęda się oni na krytyczne wyrażenie rzeczywistości, ani na wypracowanie własnych poetyckich charakterów.

Moda retró? O nie, to nie zachcianka współczesnych, by pośmiać się trochę z „nawności” swoich przodków sprzed wieku. To sięgnięcie po treści, których nikt wytwarza współczesność, ponieważ współczesność zjada swoją własną substancję. Perskie oko jest mylne. Pod płaszczykiem zabawy ukrywa się rzeczywiste poczucie głodu. Więc jeśli we współczesności znajduje się miejsce dla postaw z przedwczoraj, kompensujących ograniczającą perspektywę dzisiejszego „przyspieszenia cywilizacyjnego”, znajduje się również miejsce dla takich samych postaw ze stemplem dzisiejszej daty. Trzeba je tylko zająć. Niestety, młodzi zamiast zdobywać się na własną indywidualność wolą roztopić się w atmosferze nijakości to sobie za poszukiwanie siebie poczytując.

Krytyka. Ostatnim artykułem na temat poezji był Sandauera „Poezja rupieci” o Białoszewskim (późniejszy „Głos rozdzielony na czworo” o Herbercie to nie artykuł, lecz panegyryk). Tylko, że rupiecie są materiałem na poezję, dam się przekonać na zasadzie rezygnacji, kiedy już zdecydowanie okaże się, że innego materiału nie ma. Nie mogę się zgodzić, że najciekawszym dokonaniem budowlanym jest skamieniały, przez nieuwagę zostawiony cement na placu budowy, że najświetniejsza ewolucja hippięca jest upadek konia na parkurze. Nie wystarczy trudności zaniechać, by stanąć powyżej jej. Ja np. nigdy nie startowałem do przebycia Atlantyku. Nie znaczy, że potrafię przeżyć Pacyfik.

W latach dwudziestych Tadeusz Peiper mówił o „nowych ustach”. Obecnie „nowe usta” nie wypowiadają nowych słów, konsumują honoraria, premie i nagrody. Nie ma alternatywy. Jest postępująca petryfikacja. Kiedy więc obojętnie jakieś czasopismo — niechby nawet nie w zupełnie poważnej intencji — podważa kanon ustalonych wartości (a mówi się, że kanonów dziś nie ma), mogą tylko wydać westchnienie narzesze spełnionego oczekiwania. Nie chodzi o „Poezję”. Chodzi o poezję.

Rozmawiam z dyrektorem i kierownikiem artystycznym Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie — Zbigniewem Szejmanem:

— Naszą rozmowę rozpoczynamy jeszcze w nastroju wakacyjnym, jako że aktorzy wyjechali na urlopy, budynek teatru świeci pustkami i można by powiedzieć, że na półtora miesiąca życie w nim zamarło.

— O, co to, to nie! Wprawdzie zespół artystyczny wypoczywa, ale to wcale nie świadczy, że teatr opustoszał. Budynek teatralny poddawany jest — jak co roku — zabiegom „kosmetycznym”. Właśnie odbywa się malowanie hallu głównego, dokonujemy poprawek za plecami scenicznego, w sznurownicy nad sceną są wymieniane liny. Nie przer-



wały działalności ani zespół techniczny ani administracja. Ale oczywiście rytm normalnej, całorocznej pracy ulega w miesiącach wakacyjnych — zwolnieniu. No i życie teatru toczy się w lecie jakby w innym wymiarze. Ale zapewniam, że już za kilka dni zacznie się u nas prawdziwy „młyn”. Jak zwykle zresztą na początku nowego sezonu.

— Właśnie... Nowy sezon to nowe sztuki w repertuarze i — zazwyczaj — świeże twarze na scenie. Co i kogo zobaczymy od września do końca czerwca w Teatrze im. Osterwy?

— Na początku września występujemy z premierą „Uciekła mi przepióreczka” Stefana Żeromskiego w reżyserii i inscenizacji dobrze znanego u nas Jana Machulskiego. Będzie on również gościnnie grał Przełęckiego; w roli Smugoniowej zobaczymy nową koleżankę — Ninę Skolubę-Urygę. Następnie „Operetka” Gombrowicza w reżyserii i inscenizacji Józefa Grudy, z muzyką Piotra Mossa.

— Będzie to okazja do konfrontacji z przedstawieniami wrocławskim i słupskim, które wzbudziły tyle zainteresowania wśród krytyki.

— Tak „Operetka” to pozycja, na którą teatr stawia i liczy. Mamy nadzieję, że stanie się ona znaczącą pozycją w nadchodzącym sezonie. Próby rozpoczęły się jeszcze przed wakacja-

mi — bierze w nich udział prawie cały zespół — sztuka jest trudna, wymagająca wielkiego wysiłku. Na jej premierze — musimy się prawdopodobnie już w tym roku — reżyserii Ireny Babel, w teatrze — Macieja Słomczyńskiego, z Piotrem Suchorą i Małgorzatą Niepiłowską w głównych rolach.

— Powierzenie roli Hamleta Piotrowi Suchorze potwierdza raz jeszcze rozwój jego talentu oraz fakt, że aktorskie emploty Suchory przesuwają się coraz bardziej w ostatnim czasie z par excellence komediowego ku dramatycznemu. Z wielkim zaciekawieniem będę oczekiwał jego Hamleta.

— Całkowicie się zgadzam. Właśnie dlatego zaproponowaliśmy Suchorze tę

rolę pseudonim jednego ze znanych polskich aktorów oraz „Pokój” Arystofanesa. Ale to nie wszystko. Na malej scenie przewiduję przedstawienie o Czechowiczu, które przygotowuje Tadeusz Malak, „Cudzoziemkę” wg słownej powieści Marii Kuncewiczowej oraz monodram Tadeusza Jasińskiego „Stara kobieta wyplakuje” oparty na tekście reportażu literackiego drukowanego kilka miesięcy temu w „Kamieniu”. Myślmy też o wystawieniu na dużej scenie — jak zwykle — jakiejś pozycji dla dzieci.

— No cóż, repertuar ambitny i wielce obiecujący; można w nim widzieć poważny krok w kierunku idei dobrego teatru w wojewódzkim, teatru wprawdzie „wielofunkcyjnego”, ale

## Zbigniew Szejman o nowym sezonie i ambitnych zamierzeniach

wielką rolę, o której wszak marzy chyba każdy aktor na świecie. Rola Hamleta to dowód miary, jaką w naszym zespole oceniamy Piotra. Ale wróćmy do sprawy repertuaru: znajduje się w nim pozycja specjalnie napisana dla Teatru im. Osterwy przez Stefana Bratkowskiego — „Ptaki nie odleca”. Rzecz traktująca o ludziach i problemach powstającego na naszych terenach zagłębia węglowego, o zderzeniu się dwóch społeczności: wiejskiej i górniczej — z uwzględnieniem całego balastu spraw socjalnych, obyczajowych, kulturowych. Przypomnę tutaj niedawną dyskusję — właśnie na łamach „Kamienia” — na temat potrzeby uwzględniania tego rodzaju pozycji w repertuarze teatru. Toczy się jeszcze pertraktacje z przyszłymi realizatorami, więc pominię na razie nazwisko reżysera. Natomiast już dzisiaj mogę powiedzieć, że kolejne pozycje nowego sezonu to komedia Zdzisława Skowrońskiego — „W czepku urodzona”, którą będzie reżyserował Józef Słotwiński. „Energiczni ludzie” Wasyllja Szukszyna w reżyserii Wojciecha Wiszniewskiego. „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza w reżyserii Tadeusza Malaka i wreszcie — „Fantazy” Słowackiego, którego reżyserię powierzyliśmy Witoldowi Skaruchowi. W „rezerwie” pozostają dwie sztuki: współczesna „Krzywa płaska” Jana Szymańskiego

o jednorodnych, ambitnych założeniach artystycznych. Wydaje się on być kontynuacją ostatnich miesięcy z „Emigrantami” Mroźka „Egzaminem” Golińskiego i „Rozmowami z katem” Moczarskiego... A co z „nowymi siłami”?

— Opuszczają teatr tylko dwie osoby: Stanisław Stojko i Jacek Domański. Natomiast zasila zespół Nina Skoluba-Uryga i Jan Uryga z Płocka, Grażyna Klodnicka z lubelskiego Teatru Lalki i Aktora; powraca do nas z Kielc Jadwiga Jarmul z Białogostoku — wyrosły z lubelskiego gruntu Jan Wojciech Krzyszczyk, a z Elbląga — Tadeusz Pióciennik. Poza tym — dwoje tegorocznych absolwentów krakowskiej PWST: Ewa Pietras i Jerzy Turowicz. Większość z nich to ludzie młodzi i to nas cieszy, bo wiadomo, że teatry cierpią dzisiaj na brak młodzieży aktorskiej.

Chciałbym jeszcze na zakończenie powiedzieć, że w czerwcu gościliśmy delegację teatru w Jassy'ach w Rumunii, w związku z odnowieniem współpracy między tamtejszym i naszym teatrem. W nadchodzącym sezonie — ale w późniejszym okresie — dojdzie do wymiany zespołów i reżyserów. Natomiast już w najbliższej przyszłości serdecznie zapraszamy lubelską publiczność na kolejne nasze premiery.

Rozmawiał Mirosław Derecki

Najlepiej się oswoić...





# KRONIKA KULTURALNA

Szanując do głowki różnego rodzaju imprez w minionych tygodniach, przeważały plastyczne i związane z wystawiennictwem. Na wstępie więc o nich.

Głównym wydarzeniem w tej dziedzinie było przedstawienie „Dębina do Lublina” wystawy ocałującej dorobek, powstałej przed niespełna czterema laty Krajowej Agencji Wydawniczej w Warszawie. Posiada ona dziesięć oddziałów wojewódzkich, w tym także w Lublinie. Otwarcie tej interesującej ekspozycji miało miejsce w jednej z jednostek garnizonu lubelskiego. Oprócz grupy dowódczej i żołnierzy tej jednostki oraz dyrektora Centralnego Kołportażu Wojskowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, na uroczystości przybył m. in.: przedstawiciel KW PZPR w Lublinie – Wiesław Wróbel, sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR – Wiesława Kulicka, wiceprzewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZSMP – Mieczysław Karzmarczuk, dyrektor Muzeum Okręgowego – Alfred Gauda i inni. Boję współgospodarzy pełnili, przybyli z Warszawy, Bolesław Kowalski – redaktor naczelny Redakcji Wydawniczej Seryjnych KAW oraz naczelnik prasowy tego wydawnictwa red. Czesław Gólszewski. Zarówno na podstawie ich wypowiedzi, jak i z samej ekspozycji można sobie wyrobić poglądy o prężnej działalności tej młodej placówki. Jeżeli nie liczyć wydawnictw szkolnych, to KAW wydaje jedną czwartą egzemplarzy wszystkich książek ukazujących się w Polsce. Autorami są przede wszystkim publicyści i fotoreporterzy.

Poszukujący dobrych pozycji w księgarniach i bibliotekach, klubach i kioskach „Ruchu” zainteresują się chyba najbardziej zdobywającymi sobie już dobre imię seriami. Są to ABC geograficzne (np. Argentyna, Chile, Finlandia, Hiszpania, Indie, Iran, RFN, Wenezuela), ABC gospodarki, ABC sztuki; „Zycie i obyczaje”, „Zdarzenia, zagadki, sensacje”, „Sportowe” (np. kilka książeczek pt. „Mundial 78” i „Bohaterowie stadionów” – autorstwa wybitnych sportowców), „Wszystko o...”, „Konflikty współczesnego świata” (wydawane razem z Radziecką Agencją Prasową „Nowosti”), „II Wojna Światowa” (ukazał się już „Marek ku wojnie”, a w przygotowaniu jest „Wrzesień 1939”) oraz „Fantastyczno-naukowa”. Są to także książki dla hobbyistów, seria powieści oraz przewodniki turystyczne. Obok tego KAW wydaje reprodukcje dokumentarne i pocztówki. Z powyższego widać, że przeważa literatura społeczno-

polityczna, a największym osiągnięciem w tej dziedzinie jest niewątpliwie poszukiwana przez zwolenników literatury faktu seria „Kaspijski repertoriów”.

Popielerowe wystawy są dobrym zwyczajem. Plastyki przedstawiają na nich pion twórczości swojej artystycznej grupowania. Jedną z nich miała miejsce w zamiejsczym Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Drugą jest wynikiem spotkania teoretyczno-twórczego w Kluźkowie pod hasłem „Metafora 74 Pręstrzeń”. Po wystawieniu 44 prac 19 uczestników pleneru w kluźkowskim pałacu, jest ona – staraniem Muzeum Okręgowego – czynna w Krakowskiej Bramie.

Urząd Gminy w Zakrzówku, woj. Lublin, zorganizował u siebie dwunastodniowy plener malarski absolwentów Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu. Takie inicjatywy ze strony szeregów gminnych dotąd nie były u nas znane, są więc tym cenniejsze. W tamtejszej szkole urządzono interesującą wystawę powstałą na tym spotkaniu prac, które obejmowało wielu mieszkańców tej rejonowej okolicy. Animatorom pleneru i ekspozycji jest miejscowy nauczyciel, także absolwent wspomnianego Wydziału, mgr Zdzisław Nastowski.

Również studenci Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku oraz Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Poznaniu, uczestniczący przez miesiąc w plenerze „Chelm-88”, wystawili swoje obrazy w Chelmie i Włodawie. Uzyskane z aukcji pieniądze przeznaczyli na zakup książeczek mieszkaniowych dla sierot.

Piątym wydarzeniem w tej dziedzinie jest plener malarski „Janów-78”, który od początku sierpnia odbywa się z inicjatywy władz województwa białostockiego po raz czwarty. Bierze w nim udział 26 artystów z Warszawy, Krakowa, Wrocławia i Lublina oraz dwóch Węgrów i dwu Amerykanów. Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej zbiera się znowu o nowe prace, które już stanowią sporą galerię współczesnego malarstwa. Zostaną one wystawione 25 sierpnia, po zakończeniu pleneru.

W Międzynarodowym Festiwalu Artystycznym Młodzieży, który odbywał się w brytyjskim hrabst-

wie Essex, wziął udział, deklamując przy Spółdzielczym Domu Kultury w Lublinie Zespół Tanca Ludowego „Janek”. W niedzielę odbyła się przeglądnie występowały reprezentacje 19 krajów, na których nie naszą grupą dziesięciu par tańcerek oraz kapela prezentowały się bardzo koczystnie. Zespół dał więc kilka przedstawień. M. in. u burmistrza Essex oraz w londyńskim Instytucie Kultury Polskiej.

Również członkowie Zespołu Piosenki i Tańca „Głuski”, zeszłorocznymi laureatami „Srebrnej Hory Kopenhagi”, wyjeżdżali ostatnio do stolicy Danii i zdobyli tam trzecie miejsce, które zapewniło im udział w przyszłorocznym IV Światowym Festiwalu Młodzieży „Ludzie ludzom”. Impreza ta opiekują się ONZ. Lublinianie konkurowali z 24 grupami artystycznymi 12 krajów. Pierwsze miejsce zdobyli Francuzi, drugie Japończycy, a trzecie wraz z „Głuskami” chór Średniej Szkoły Muzycznej z Katowic. Tańczerze i śpiewacy „Głuski” dali kilka występów na półwyspie oraz nawiązali przyjazne kontakty z zespołami tamtejszej „Polonii”, a także z kanadyjskim i tureckim. Na zaproszenie tego ostatniego uda się mają w przyszłym roku do Ankarę, by uczestniczyć w święcie narodowym Turcji.

Zakończył się, zorganizowany przez Towarzystwo „Polonia” i Centrum Polonijne UMCS, miesięczny kurs przygotowujący kadre choreografów dla polskich zespołów za granicą. Trwa on trzy lata, po miesiącu w każdym roku. Absolwenci otrzymują, uznawane w ich krajach, dyplomy Ministerstwa Kultury i Sztuki. W tym roku wręczone je dziewięciu osobom z Australii, Belgii, Birmu Zachodniego, Francji, Kanady oraz USA.

Natomiast 37 cudzoziemców (jedyn tylko pochodzenia polskiego) z Francji, RFN, Szwecji i USA przez cały sierpień uczestniczy w Letniej Szkole Języka i Kultury Polskiej przy UMCS. Lektorami są pracownicy nauki Zakładu Języka Polskiego tej uczelni, którzy władają zarazem językami wymienionych grup narodowościowych. Słuchacze Letniej Szkoły zwiedzili już nasz region oraz wiele miejscowości kraju.

Szekapirowskim „Poskromieniem złośliwości”, przedstawionym przez warszawski Teatr „Ochota” (z udziałem Włodzisławskiej Orkiestry im. K. Namysłowskiego), a wyreżyserowanym przez Jana Machulskiego, zakończyło się Trzecie Zamajskie Lato Teatralne, w którym wystąpiło sześć zespołów.



## Powłórnny debiut

W CIĄGU minionych tygodni przez prasę filmową — i nie tylko — przewinęła się niemała liczba wypowiedzi i ocen dotyczących ostatnich filmów Mieczysława Waśkowskiego: „Jego portret” oraz „Nie zaznasz spokoju”. Wprawdzie pomiędzy tymi dwoma filmami znajduje się jeszcze kryminalny dramat społeczno-obyczajowy „Hazardziści”, ale średniometrażowy, telewizyjny „Jego portret” realizowany przed czterema laty, został szerokiej publiczności, zaprezentowany dopiero teraz, prawie równocześnie z kinową premierą „Nie zaznasz spokoju”. Wypadła z tego interesująca konfrontacja, bo choć wszystkie trzy wymienione tutaj realizacje Waśkowskiego mieszczą się w gatunku społeczno-obyczajowym to „Jego portret” i „Nie zaznasz spokoju” zajmują się problemami młodzieży z marginesu społecznego, chociaż penetrują niezupełnie te same środowiska i nie tych samych użyto przy ich kręceniu środków wyrazu. Różne jest też spojrzenie reżysera na bohaterów obydwu filmów. Jest jeszcze trzeci aspekt, najmniej może ważny, ale jednak istotny, owego zainteresowania ostatnimi dokonaniem reżysera: Waśkowski wydaje się należeć do tych twórców, którzy — pracując bardzo aktywnie zawodowo — przez całe lata nie mogą się jakby ostatecznie zdecydować na sprecyzowanie sfery swoich twórczych poszukiwań; kiedy wreszcie to uczynią efekt jest tym bardziej dźwięczny.



Piotr Pręgowski (Janek, brat Tolka Maliniaka) w „Nie zaznasz spokoju”

Waśkowski kierunek swoich zainteresowań określił w sposób zdecydowany dopiero w wieku czterdziestu kilku lat. Właśnie w tych latach kręcił „Jego portret”, „Hazardziści” i „Nie zaznasz spokoju”. Choć już wcześniejsze realizacje zwracały na siebie uwagę: pierwsze etudy filmowe, filmy eksperymentalne uhonowane zagranicą nagrodami, wreszcie fakt, że pracował jako asystent lub II reżyser w znaczących filmach Kawalerowicza, Morgensterna czy Pasendoriera. Niestety, fabularny debiut Waśkowskiego: „Zacne grzechy” z 1963 r. był artystycznym niewypałem. Niewiele mówił Waśkowski o sobie w szeregu realizacji telewizyjnych, m. in. dla młodzieży; uwagę za to zwrócił bez wątpienia film „Jeszcze słychać śpiew i rzenie koni” powstały na oparciu o książkę Andrzeja Mularczyka — „Co się komu śni”. Tej „wojennej” tematyki reżyser jednak nie kontynuował. Następnym, powstałym w trzy lata później filmem — miał już być „Jego portret”.

„Jego portret” ukazuje środowisko tzw. trudnej młodzieży, akcja toczy się w zakładzie zamkniętym dla dziewcząt, które zostały tam skierowane na mocy wyroku sądowego. Główna bohaterka trafiła tutaj za próbę zabójstwa w afekcie chłopa, który zawiódł jej uczucia. Występująca w tej roli Małgorzata Pritulak dała prawdziwy koncert gry aktorskiej, równocześnie w zadziwiający sposób potrafiła wtopić się w tło przedstawianego środowiska. (Waśkowski oparł się głównie na „naturalistykach”, większość ról grają wychowanki zakładu)

Posługując się najczęściej ręczną kamerą, stosując paradokumentalną metodę filmowania, Waśkowski nasycił „Jego portret” ogromną dawką autentyzmu lecz przede wszystkim — prawdy o człowieku, o jego upadkach ale także o potrzebie podnoszenia się z nich, o prawdziwych uczuciach i umiejętności bycia wiernym własnym zasadom. Bohaterka „Jego portretu” zrezygnuje z przedterminowego wyjścia na wolność kosztem „małżeństwa z rozsądku”, zachowa wiarę w spotkanie prawdziwej miłości chociaż raz już tak bardzo się na niej zawiódła.

Poruszając się w temacie trudnym, bardzo drastycznym i niewdzięcznym, mogącym skłonić do łatwych a efekciarskich przerysowań, Waśkowski potrafił wypełnić „Jego portret” wielkim ładunkiem humanizmu i właśnie ów humanizm jest głównym — obok oczywiście faktu podjęcia ważnego, społecznego problemu — walorem tego filmu.

Natomiast mniej zachwycił mnie film „Nie zaznasz spokoju”. Temat również niebanalny, związany z występującym głównie przed kilkoma laty problemem „git-ludzi”, owę młodzież z peryferii społeczeństwa wyznającą swój własny, prymitywny „kodeks moralny” oparty na kulcie siły, gwałtu, przemocy oraz swoście pojętej „niezależności”. Niestety, historia Tolka Maliniaka zwanego „Biczem” (ciekawa kreacja aktorska młodego Krzysztofa Janczara), który terroryzuje swoje otoczenie, znajdującą kulminację w bratobójczej walce — nie otrzymała swego psychologicznego odpowiednika jak w „Jego portrecie”. Film razi schematycznymi uproszczeniami, dość naiwną dydaktyką. Przede wszystkim zaś — brutalnością wielu scen. Miały one zapewne wstrząsnąć określonym widzem kinowym — tymi młodymi ludźmi, którzy mogliby być podatni, lub już znaleźli się na marginesie społeczeństwa. Ale, niestety, na widowni obserwuje się nierazdo reakcje wręcz przeciwnie. To już zresztą temat do osobnego artykułu czy też dyskusji w gronie wychowawców i socjologów... Tak czy inaczej, obok problemów pokazywanych z tak wielkim zaangażowaniem przez Waśkowskiego nie można przejsć obojętnie.

Szkoda tylko, że w jednym z ostatnich wywiadów reżyser informuje o przystąpieniu do pracy nad serialem telewizyjnym opartym na powieści „Huragan” Waława Gąsiorowskiego.

Mirosław Derecki

## KALEJDOSKOP

### Szkoda, że w zastępstwie

W niedzielę 6 sierpnia telewizja przedstawiła w programie II film, który swego czasu był wielkim wydarzeniem. Był to „Zmierzch bogów” reżysera Vlacconiego. Na pewno wielu widzów obejrzało go z zainteresowaniem. Ale był on pokazany zamiast innego filmu, który był zapowiedziany w programie, a nie był prawdopodobnie przygotowany do emisji. Prezentacja takiego dzieła tylko w zastępstwie bez zapowiedzenia go w programie jest co najmniej nieporozumieniem. Dlatego też liczymy, że TV wróci do niego ponownie już programowo tak, by wszyscy amatorzy dobrego filmu mogli zaplanować sobie jego obejrzenie.

### Nie zawsze winna redakcja

„Moje trzy grosze” w „Kurierze Lubelskim” z 23 lipca były w części prawie nieczytelne. To samo było kilka dni wcześniej z jednym z ogłoszeń. W „Kamencie” z 22 lipca kilka wierszy w „Notataku” na drugiej stronie też wydrukowane zostało tylko górą. W zakończeniu „Listów i telefonów do nas” w „Sztandarze Ludu” z 1 VIII też widzimy to samo. Stare zwyczajne drukarsko-redakcyjne stanowili, że kolumnę przed kalendrowaniem sprawdził metrapaz, redaktor techniczny i stereotypy, a przy najniższym drgnięciu wierszy strona była dojustowywana. Chyba musiało to wyjść z tradycji, jeśli tak często „kłada się” wiersze pod kalendrem. Towarzyszy czarnej sztuki prosimy o powrót do dobrych zwyczajów dopóki nie zastąpi paleoc metrapaza jakiś aparat.

### Kanikułowe błędy

Kanikuła nie sprzyja żmudnej pracy adustatorów i korekty na-

Kamena str. 14

### Jest antykwariat

Swego czasu pisaliśmy w „Kamencie” o braku punktu antykwarycznego w Zamościu. Powodem niemożności otwarcenia takiego punktu był podobno brak odpowiednich druków. Okazało się jednak, że druki się znalazły i placówka ta działa już od kilku miesięcy. Zlokalizowana ją w księgarni przy ulicy Zamojskiej 7. Można więc w Zamościu sprzedać i kupić używane książki. Wprawdzie nie ma tam jeszcze wielkiego ruchu, bo być może nie wszyscy dowiedzieli się już o istnieniu punktu, ale przysuszać można, że działalność „rozkręci się”. W każdym razie pierwszy krok został już uczyniony.

### Daleko do stu

W „Kurierze Lubelskim” nr 164 czytamy: „Realnie przez bazar nie wczesniej chyba niż jesienią otworzy się przejazd ulicą Lubar-

owska i to tylko dla trolejbusów oraz samochodów o ciężarze do 2,5 tony. Autobusy MPK pozostaną na dotychczasowych trasach objazdowych. Do kiedy? Też nie wiadomo. Chyba do momentu aż będzie 18-procentowa pewność, że nie więcej się nie zawali na ul. Lubartowskiej czyli po wykonaniu ekspertyz wszystkich starych budynków”. Skoro będzie tylko 18-procentowa pewność, że się nie zawali, to po co w ogóle zaprzętać sobie głowę ekspertyzami. Lepiej od razu wykwaterować ludzi i wyburzyć!

### Harcerzem być...

Wpadła nam w ręce kartka przystana do domu przez uczestnika obozu harcerek w L. Cyfajny: „Mamo! Jest słabo. Kluczemy się o 22.30, budzimy o 7.30. Jedzenie jest niedobre, zastępowy ciągle tylko marudzi i byle co gada — „Przykopic, zaraz przykopic”. Warty mamy w nocy, zastępowy chce, by się ubierał jak on chce, a mi zimno, mam wielki katar, bo się trzeba kąpać w rzecz, jest marnie. Przyjeżdż po mnie bo tu straszna lipa”. Należy mieć nadzieję, że obóz w L. stanowił niechlubny wyjątek.

### Masło maślane

Z bólem serca odnotowujemy kolejne błędy językowe w naszych publikacjach. I tak w „Kurierze Lubelskim” nr 164 czytamy: „...świata, które regulowały ruchem...”, zamiast „regulowały ruch” (gramatyka); w „Przebiegu Sportowym” nr 134: „...za wyjątkiem...” (typowy rasy-cyzm); natomiast w „Forum” nr 30: „...w hrabstwie Nottinghamshire...” (tautologia). W tym ostatnim wypadku powinno być „w Nottinghamshire” albo „w hrabstwie Nottingham”, jako że „shire” to w języku angielskim po prostu „hrabstwo”. Błąd ten spotykamy bardzo często. Wynika to niewątpliwie z faktu, że jeszcze zbyt mało wykazaleńców ludzi w naszym kraju zna języki obce.



# POCZTA literacka



A. P. Sandomierz. Współczesna poezja nie jest konsekwentna. Dopuszcza w jednym wierszu sąsiedztwo fraz tak skomplikowanych, że często nieczytelnych — ze sformułowaniami całkowicie prosatorskimi. Pan ten bład popełnia prostymi słowami. Jest to demerujące ponieważ czytelnik zmuszony jest do hultajstwa. Niezależnie od tego banał w poezji choćby najbardziej zaasekurowany tzw. bezprezencjonalnością banałem zostaje i ciągnie wiersz w dół. Ba powstaje podejrzenie, że tak autor nie miał nie do powiedzenia poprzestając na komunałe, tak jego rebusy również są zamaskowaną pustką.

M. K. Lublin. Chciałem tu odpowiedzieć o niebezpieczeństwach czytających szczególnie na autorów (bo mniej na autora) ze strony wierszy miłosnych, gdzie rozwibrowanie uczucia może przesłać dylację o formie artystycznej, kiedy zauważyłem, że mam do czynienia z przekładem z łotewskiego. Na taką odległość powstrzymuje się od korektur, a autorka Pana natomiast obciążałam od zaszczępowania w przekładach utworów zawierających — nie ma co ukrywać — treści oczywiste. A wioły muzyki. Co oczywiście nie oznacza, że takiej praktyki nie może Pan nie prowadzić pod katem ćwiczeń filologicznych.

G. D. Bełżyce. Domaga się Pan obywatelskiej oceny. Pomijając tu fakt, że otrzymałem zaledwie dwa wiersze, muszę stwierdzić, że ocena nie wymaga aż takich rozmiarów. Od razu widać, że są to tzw. pierwsze kroki i wszystko typowe, co z tym się wiąże. A więc młodzieńcze nieopanowanie, „zamach na wszystko” którego domagał się Przybóś, ale przeprowadzony chaotycznie, niecierpliwość zamknięcia całego świata i całej tzw. duszy tuż teraz, natychmiast w kilku słowach. Nie ma w tym samokontroli, owego sprawdzającego, przyzmierniania efektu do zamiaru, robota jest wykonana „z grubszą”. Pośredziabym: stół sporządzony nie przez stolara, ale przez ciekle. Proszę jednak nie przyjąć tych uwag w sensie ironicznym. Domaga się Pan oceny, więc nie mogę wykręcać się grzecznościami. Ani ironii ani duśerów w tej rubryce nie ma. Muszę jednak dodać, że mimo potknięć formalnych, dale jest w tych wierszach wyzucie ruci, oraz, partie do przodu, a to tuż jest znamię poetyckiego stosunku do rzeczywistości. Radziłbym jednak swój temperament skierować w stronę bardziej współczesnych środków poetyckich. Język również rozwija się w czasie. Co zaś do znaczenia zwrotu „nie skorzystałem”, używanego w „Poczcie literackiej”: no co! nie potrzeba tu przesadnych medialacji. Dotyczy on utworów, które jeżdżą z różnych powodów nie spełniają warunków druku. Adnotacje takie umieszczamy również nie dla dokuczania autorom, lecz dla informowania ich o losach przesłanych tekstów.

M. L. Kraśnik Fabryczny. Z tekstów tych przebiega szerszość w tym sensie, że nie ma w nich metafizycznego uduśnienia. Mówi Pan o sorawach, których rzeczywistości doświadczają o ludzkości, których rzeczywistości kocha. Tożko za mało tego, co się nazywa samowidomością artystyczną. Tożko znaczący trud kształtowania wiersza. Zastępuje ja Pan miłymi przysłowiami, ale to ma złąkrowanie malowanki obrazów nie zkomponowanych według rękawicy zrealizowanej. Widać zważając, że filozoficznie w wierszu — to bym zalegał przede wszystkim ze swobodą czytelnika strony.

K. Lublin. Opowiadanie jest — nowożytna przeuda — rozwinęła. Na ośól dwa wiersze stylizowane funkcjonują w takiej malowankowej formie albo dynamiki wydarzeń, albo refleksja filozoficzna — psychologiczna. Oczywiście to z grubszą. Ale u Pana nie ma ani jednego ani drugiego. Zwolnienie tematu nie przynosi naszwienia myśli. Przeźnim wiało pod uwagę niniejsze słowa, ba oryznujem że Pan ma powód by być nióro do ruki.

S. W. Kraśnik. Bylbym przekonany, tymi frazami, jeśli zdobylby się na wczel oryginalności. Plełnute Pan zlawica w dnie oczywisty sposób dopomniłacie się, napięnowania, dystonu, nakię satyry, sa pozabawione zdolności zaszczępowania. Dla satyry test to grzech niewszacalny.

A. M. Kenia. Przewidywałbym, że warte próbnie Pan zaprzę współczesne motywy muzyczne na starym instrumencie. Po co taka praktyka? Lenziej środki wyrazu dostosować do treści, które mają być wyrażone.

T. R. Lublin. Właściwie nie miałbym nic do zarzucenia, ponieważ i obrazowanie nie jest niefortunne i celność wyrazu nie szwankuje i wyrażenia odchodzą od stylizacyjnych stereotypów. Ale nie się tu nie wstróżnia. Owe wymienione „wyznaczniki” — jeśli tak można nowiedzieć — zdają egzamin na trójkę. Trzeba coś zaryzykować, może nawet jakiś fałsz, choćby dla eksperymentu, dla przekonania się, że trzeba zmienić, z czego przyzwyczajenie. Porównań test takim samym wrociem może co lawna pomyśla.

A. Z. Tomaszów Lubelski, W. G. Zamość, T. C. Bilszaj, L. T. Końskowola — nie skorzystamy.

## LUBELSCY PŁASTYCY NA CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

28 lipca w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie odbyła się uroczystość tyle sympatyczna, co dobrze świadcząca o poczuciu społecznego uczestnictwa lubelskich artystów. W tym dniu 52 artystów — członków ZPAP przekazało na ręce ministra Janusza Wieczorka 26 obrazów, rzeźbę i 37 innych dzieł wykonanych w różnych technikach. Zrealizowane przez twórców odmiennych pokoleń, trafią one do pomieszczeń Centrum Zdrowia Dziecka. Przekazując

działa prezes Zarządu Okręgu ZPAP, Ryszard Lis, wskazał na humanistyczne motywacje ofiarodawców. W spotkaniu uczestniczyli: sekretarz KW PZPR Władysław Kruk oraz wojewoda lubelski Mieczysław Stępien, co naszym zdaniem nie było tylko kwestią protokołu, ale przede wszystkim kolejnym potwierdzeniem uznania władz dla wszelkich pożytecznych społecznie inicjatyw środowisk artystycznych.

## Listy do kamieny

### „RADGOWSKI DLA DZIECI”

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w „Kamieniu” artykuł Andrzeja Radgowskiego pt. „Radgowski dla dzieci” („Kamień” nr 19). Szczególnie utkwił mi fakt, że statystyczny mieszkaniec Zamojszczyzny wydaje na książki czterdzieści parę złotych. Autor podaje przyczynę tego braku zainteresowania książką: że jest za szczerpa sieć księgarni. Oczywiście, jest tak w istocie, mieszkańcy Dolnolubowskiej i okolic chcą nabyć jakąś książkę, muszą się udać do odległego Hrubieszowa. W takim zaś Łaszczowie jest księgarnia na miejscu. Prawda jest także i to, że jeśli ktoś chce kupić książkę, to dla niego odległość nie robi żadnej różnicy. Jest jeszcze inna przyczyna

czytelnictwa: są bardzo rozpowszechnione telewizory. Oglądając telewizję, już brakuje czasu na przeczytanie książki. Ale kto zna literaturę z książek, ten dobrze rozumie oglądany film, a nie posiadając tej głównej podstawy, mało rozumie z treści filmu. Jedynie książka może dać pełnię zadowolenia umysłowego. I są takie wypadki, że oglądając film telewizyjny, pragnie nabyć książkę, na której podstawie nakreślono film.

Jan Gajda  
Zareka

### NAUKA, PRACA, WALKA

W lubelskich dniach lipcowych 1944 r. byłem jednym z tych, którzy jako pierwszy z ramienia ZWM brali udział w posiedzeniach Krajowej Rady Narodowej, gdzie kształtowała się i rodziła wyści o nowym, lepszym jutrze. Powstała wtedy zębry władzy ludowej. Główną postępowej młodzieży, to najbardziej radkalna, poczeta tworzyć na ziemi lubelskiej Związek Walki Młodych. Zaczęły też odnawiać swoją działalność OM TUR i „Wici”. W kilku pokojach na rogu ul. Chopina i Krakowskiego Przedmieścia tworzyliśmy pierwszy zarząd. Garnęła się młodzież, która wkrótce miała tworzyć pierwszą i drugi front walki o wolność i wolność ludu. Stąd właśnie kierowaliśmy młodzie

ych chłopców do szóst oficerek, Milicy Obywatelskiej czy innych dziedzin powojennego życia.

Pamiętam taki dzień, kiedy wobec zbliżającego się do Doma Zolwerza i Krajowego Zjazdu Młodzieży Wilejskiej „Wici” mnie, jako jedynemu z Zarządu i współpracującemu organizacjom, poleceno walczyć ten zjazd Pierwszą publiczne wystąpienie i treścią. Jak się okazało, chociaż na sali obrad znajdował się najwyższ przedstawiciel wojisk radzieckich.

Praca na co dzień nie była łatwa. Połączenie jej z czynną walką o utracenie władzy nie przynosiło od razu efektów na wielką miarę. A poza tym nauka, studia, praca w AZWM „Zycie” na uczelni absorbowaty każdą chwilę. Iu z tych naszych młodych chłopców polega na jednym, zetematyzm, i drugim frontem! Jak wiele poprzez lata zafarło sie drogich i oddanych twarzy. Z rozrzuconiem oglądam po dziesięć lat dzień swojej legitymacji członkowskiej AZWM-u, i wracam pamięcią do tamtych dni.

Nauka, praca, walka. Niejeden przypłaci to zdrowiem lub życiem, ale siładostwo budowania i walki o inną, lepszą Polskę była silniejsza, chociaż to, co robiliśmy wówczas nie miało poznamu korzyści materialnej i robienia kariery. To była konieczna wewnętrzna powinność i tak odczuwał to każdy.

Zbigniew Filipowski  
Lublin

## KRZYZOWKA

(nr 17)

Poziomo: 1. gleba niskiej klasy, 5. pierwsze słowo „Popiołów”, 8. duża woda, 11. dawny powiat hiszpański taniec, 12. rezultat, 13. rodzinne mięso „Kamień”, 14. wydawnictwo na cały rok, 17. zatoka Morza Czerwonego, 19. moc, 20. koncert uczniów szkoły muzycznej, 21. niektórzy tylko od niego umieją zaczynać taniec, 22. część świata, 24. daleko od Krymu, 26. bóg miłości, 27. starogrecki rynek, 28. mądry ptak, 29. półczłowiek — półkoziół, 31. uzupełnienie rez. głównego wystąpienia, 33. królewskie insygnium, 34. zwoje, 35. twórca polskiej opery narodowej, 36. wakacje, 37. óród pisarza — dziś zastępują je maszyna, 38. broń myśliwska.

Pionowo: 1. eoz z nabiata, 2. ludowa ślę, 3. wewnątrz owocu, 4. autor „Hamleta”, 6. powieść, 15. pionowo, 7. współczesny wybitny poeta polski, 9. zwizek, 10. liryczna pieśń ukraińska, 15. wielki pisarz rosyjski XIX wieku, 16. hinduska waluta, 18. wjazd za ogrodzenie, 19. zespół kolejnych sztuk, 20. opłata za przesłanie, 23. założyciel „Kamienia”, 25. pisarz polski, piewca górniczego życia, 28. obok panny w tytule powieści Weyssenhoffa, 29. część utworu poetyckiego, 30. na nim zuna, 31. polski motorower, 32. wyprawiali się po nie argonauci.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (SKR. poczt. 231 20-950 Lublin).

Rozwiązanie krzyżówki nr 15  
Poziomo: Szymonowic, portyk, Kochanowski, slinik, wieści, ezako, pastor, sód, rewers, styk, opal, ziemia, lka smutki, sza-

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
8								9	10
12								13	
17		18							19
22	23						24		25
28			27					29	30
33			31	32				34	
37								36	

la, amfory, nektar, departament, Serbia, Przesmycki.

Pionowo: spis, król, Ryki, Zborowski, orator, wawóz, Flowski, leba, nuri, kwarta, Chelm, agent, przesada, sieja, oska, dostojnik, Raszyn, urok, Kuba, marazm, trac, eter, tuba, Real.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 15 bony książkowe po 40 zł. za każdy. Wylosowali: Anna Kowalczyk 20-116 Lublin, Łazienkowska 14/4, Stanisława Widz 23-209 Kraśnik, Świerczewskiego 4, Stanisław Janeczka 23-212 Wilkopolz Górny, Zdzisław Koba 41-200 Sosnowiec, Północna 41.

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Beechzye-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (2-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Miroslaw Dercki, Tadeusz Jasinski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgóski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeraty na wra: otrzymują Oddziały RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny

— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumerat rocznej — 78 —

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH”

Zakłady pracy instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratary indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” Centrala Koloportu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28: 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego otrzymuje zainteresowań w poprzedzającej ostatki w godz 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie W dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam 2077

Numer łamał Mieczysław Psajek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy.

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, 2-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

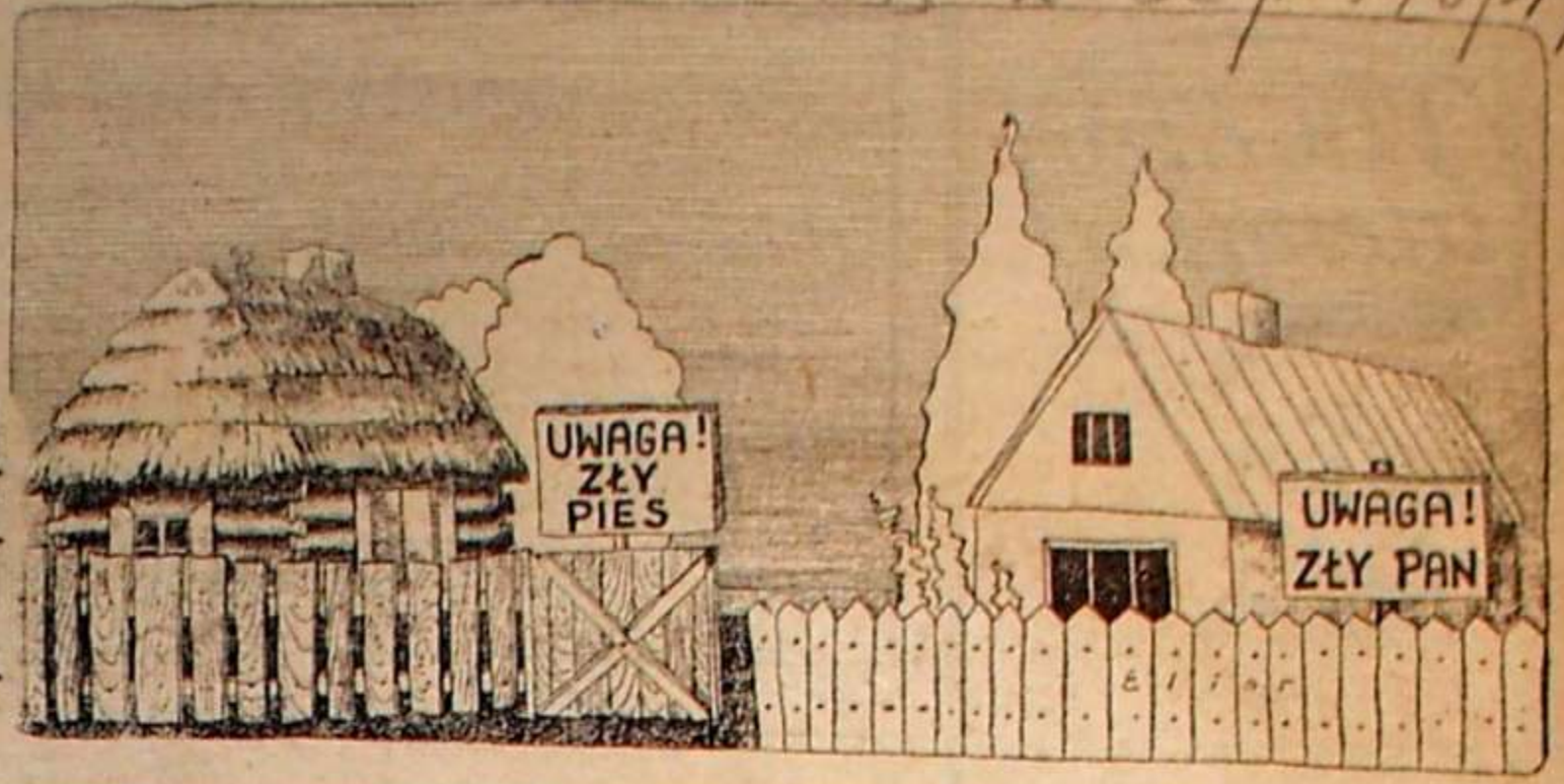
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36293





Rys. Jerzy Lipiec



Władysław Grzeszczyk

### WYLOSOWAŁEM KIEDYS

Wylosowałem kiedyś  
swoją los —  
cienki,  
jak najcieńszy włos...

Więc  
nie strzyż mnie  
mój fryzjerze —  
o to cię proszę,  
jak najszczerzej...

Bo chcę jeszcze,  
z pomocą boską —  
powisnąć  
na tym najcieńszym  
włosku...

Jan Górczyński

### ROBACZYWE MYŚLI

- Nie czyń postępów w cofaniu się.
- Na fotelu cudzej sławy mieścis długo nie zagrzesz.
- Lepsze mądre błażństwo niż poważna głupota.
- Warto być zerem, gdy wspiera się wysokie wartości.
- Tam gdzie nam jest źle, inny może być całkiem dobrze.
- Czas to pieniądz, ale tylko dla tych, co nie rozmieniają się na drobne.



Eliot



Eliot



## Kronika nie całkiem absurdałna

#### Proszę o pomoc

Piszę prace naukowe na temat najwskazywanych prac doktorskich jakie ukazywały się w XX wieku. Posiadam ciekawych prac te oddaję. „Wpływ gry w palanta na rozwój pracy półkuli mózgu”. Współzależność lewicowości od lewicowości na przykładzie „Inżynierów”. „Nieraz z teoriami Freuda” itp. Proszę o skontaktowanie się ze mną osobiście lub listownie.  
mar. Tulus Chrzęszcz

#### Sprzedaż

Spółdzielnia Produkcyjna „Białogłowa” w Rzeszowie sprzedaje w dowolnej ilości z powodu braku środków transportowych zjadłe mleko na piwo. Krowy do wudłożenia znajdują się na pastwisku spółdzielni. Dojazd do pastwiska tylko osobistymi jednoradłowcami!

#### Taśmy centymetrowe dla nietypowych

W ślad za produkcją ubrań bielizny i butów dla osób „nietypowych” pojawiły się w sklepach nietypowe taśmy centymetrowe. Dostać już można m. in. metrową taśmę centymetrową mającą de facto 155 cm. Tak również inną taśmę metrową mającą tylko 15 cm. Miarę drugiego typu używa się już w sklepach.

#### Mleczna droga

Naukowcy ze Stacji Hodowli Bydła Mlecznego w Krowiej Gorze są na drodze zwiększenia mleczności krow. Przeprowadzone bowiem badania (na razie wstępne) w wio-

stacji wykazały, że dalewanie do paszy mleka znacznie zwiększa mleczność krow. Mleko podaje się tu do picia lub też zakwasza się zsiadłym mlekiem mieszanki. Wstępne wyniki wykazują, że podanie 1/2 litra mleka na głowę zwiększa w stosunku dziennym udój o 1/4 litra na jedno wy-

Jan Lechicki

#### Sprostowanie

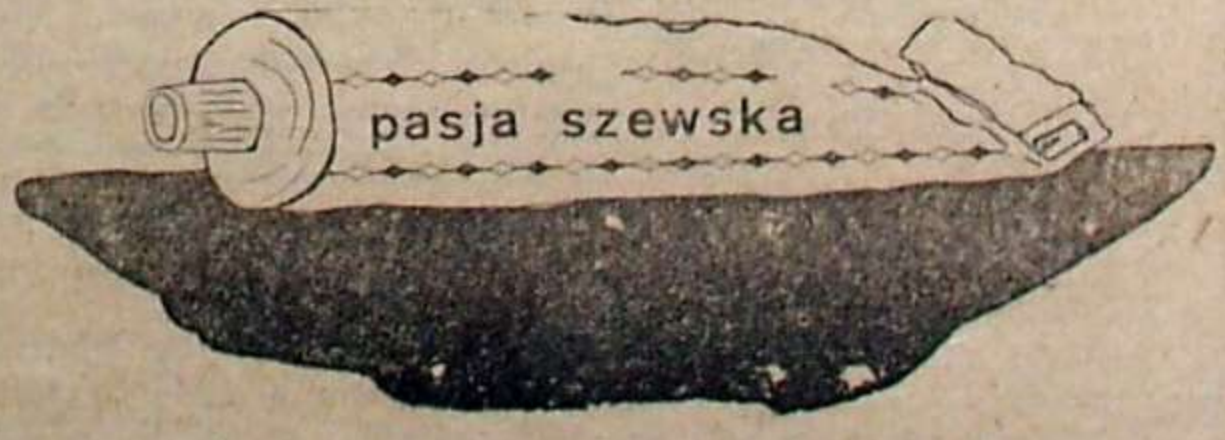
Niniejszym pragnę sprostować, że podczas przyjęcia z okazji moich imienin jakie wygłaszałem dla najbliższego grona moich współpracowników w mojej willi przy ul. „Nad przepaścią” nie dornałem obrazu, lecz dostalem dwa obrazy wartości 18 tys. złotych. Ofiarodawcom składam serdeczne podziękowanie.  
Dionizy Kur-Duplowski  
(-) Dyrektor

#### Z życia teatru

Znany aktor grający skądinąd rolę czołwika pijanego, tak bardzo uczył się o ową rolę, że dając niewnego, zniósł po sobie taklu do domu zataczał się. W związku z powyższym aktor MO odstawił go do szpitala. Nie pomógł złamania bólu, więc balonik nadmuchany przez wzmianowanego aktora zabierał się. Na co z wiadomości z tego test wrości. Nie warto przejmować się swoimi rolami.

#### Tego jeszcze nie było

Ojcowie grody K. postanowili, że z powodu braku stałego targowiska w tym mieście zostanie wyplacone z wiktary targowisko przenośne. Ma ono dwie zalety: a) będzie je można przenosić z miejsca na miejsce; b) w dni beztargowe będzie ono służyć jako ogólnomiejscowy smetnik.



Rys. Jacek Hozdejuk